

Laura Wright

*Królewskie łóżce*

scandalous

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jane Hefner, wchodząc do pałacu i stukając obcasami o biały marmur posadzki, przywołała na twarz miły uśmiech. Przed miesiącem to teksańskie towarzystwo Turnboltów speszyłoby ją nieco. Przed miesiącem, gdy była skromną dziewczyną, mieszkała przy spokojnej ulicy równie spokojnego nadmorskiego miasteczka w Kalifornii i pracowała jako kucharka w małej restauracyjce za równie małe wynagrodzenie.

To było przed miesiącem, gdy była po prostu Jane Hefner, a nie Jane Hefner Al-Nayhal, zagubioną księżniczką małego, ale bogatego kraju o nazwie Emandia.

Po zaledwie czterech tygodniach osuwania się z nową rzeczywistością, uczenia się pewności siebie, Jane stała się jedną z osób bywających w salonach państwa Turnboltów, sięgających po tartinki i różne wykwintne napoje.

Majątek Rolley to wspaniałe miejsce, z obszernym domostwem w stylu myśliwskim, stojącym na wzniesieniu z widokiem na piękną, tonącą w zieleni okolicę. Miasteczko, oddalone o zaledwie pół godziny jazdy od Paradise w stanie Teksas, leżało jakby na drugim końcu świata - emanowało spokojem, zachwycało nieco dziką urodą. Jane dowiedzia-

ła się od swego brata, że właściwie majątek Mary Beth i Hal Turnbolt nabyli przed paroma laty i przemienili ów sielski zakątek w tętniącą życiem nowoczesność z trzema hotelami, jeziorem, parkiem i lądowiskiem dla helikopterów.

Jane upatrzyła sobie miły kącik przy kominku i usiadła, poddając ciepłu ognia nagie plecy, których nie okrywała szmaragdowa jedwabna suknia. Boże, jak to cudownie być samej. Choćby przez parę godzin. Lubiła swoich nowych braci i bratową Ritę, lecz przez te cztery tygodnie tylko w nocy, w swoim łóżku nie musiała rozmawiać o obowiązkach królewskich, ale nawet gdy spała, nie mogła się oderwać od tych „królewskich” myśli.

- Krewetki?

Jane uśmiechnęła się do sympatycznego kelnera, pamiętając, w jakim celu przybyła na to przyjęcie Turnboltów - by dowiedzieć się, jak wygląda w Dallas teksańsko-meksykańskie party dla wyższych sfer, i wydać własne. Musiała wynająć obsługę i obmyślić własne menu. Za trzy tygodnie miała się odbyć gala wprowadzająca w świat malutką Dayę Al-Nayhal, i Jane postanowiła wystąpić z taką ucztą, by Sakirowi i Ricie szczęki opadły ze zdziwienia.

Sięgając po krewetkę Jane zauważyła stojącą obok małą sosjerkę.

- Co to za sos? - zapytała kelnera.

Młody mężczyzna zerknął na Jane, potem na sosjerkę, potem znów na Jane.

- To chyba bita śmietana.

Chyba?

Jane wykrzywiła się. Gdyby ten facet pracował u niej, da-

łaby mu już w kuchni solidną nauczkę. Tyle że Jane własnej kuchni już nie miała.

- Chciałaby pani spróbować?

Zabrzmiała w tym pytaniu nuta zakłopotania, jak gdyby sam tego sosu nie próbował i nie był pewny, czy aby potrawa jest świeża.

- Chętnie - odparła Jane nakładając sobie na talerz sporą porcję krewetek.

Sos był wspaniały - ostry, zawieszisty, świetnie komponował się z krewetkami. Obserwując niedoinformowanego kelnera, który z tacą w ręku podszedł do stolika zajętego przez dwoje starszych państwa, Jane zrobiło się żal kucharza, którego świetnych wyrobów kelner wyraźnie nie doceniał, a o dodatkach do potrawy nie miał najwyraźniej zielonego pojęcia.

Jane przyszło na myśl, że chyba są ogromne trudności ze znalezieniem pracowników. Trzy przyjęcia w ciągu tygodnia - i tylko jeden kelner zwrócił jej uwagę. Chętnie sama ofiarowałaby swe usługi swojej nowej rodzinie, ale to nie wchodziło w grę.

Rozmyślania jej przerwał jakiś gwar. Uniosła wzrok i ujrzała kobietę około siedemdziesiątki, o czarnych oczach i długim spiczastym nosie; stała na podium, trzymając w obu dłoniach dwa bezcenne olejne obrazy. Była to gospodyni tego domu, pani Mary Beth Turnbolt. Patrzyła na gości wzrokiem nakazującym milczenie.

- Szanowni państwo - zaczęła przyjacielskim tonem. - Chciałabym wam podziękować serdecznie za przybycie. Cudownie, że tak wielu przyjaciół popiera tę sprawę. Jak

większość państwa wie, syn naszej gospodyni, Jesse, cierpi na zespół Downa, i my oboje z Halem pomagamy jego rodzicom w zapewnieniu mu opieki lekarskiej i przy zakupie leków.

Mary Beth uśmiechnęła się do pyzatej blondynki siedzącej na kanapie. Mąż Beatrice, jak domyśliła się Jane, siedział obok niej, trzymając ją mocno za rękę.

Wzruszenie ścisnęło Jane za gardło, gdy uświadomiła sobie wagę tej dzisiejszej wieczornej imprezy.

- Mamy dziś specjalnego gościa - ciągnęła Mary Beth, ściągając wzrok Jane w stronę podium. - Bardzo rzadko zjawia się na takich spotkaniach, chociaż wszyscy zawsze próbujemy go namawiać.

Słowom tym towarzyszył krótki śmiech, na co Jane gniewnie zmarszczyła brwi.

A Mary Beth, cała w uśmiechach, mówiła dalej:

- Proszę was, pomóżcie mi powitać mego drogiego przyjaciela, Bobby'ego Callahana, który trenował całą dziewiątkę naszych koni.

Wzrok Jane, jak i wszystkich gości, skierował się ku drzwiom. I od razu zrozumiała, o czym tak chętnie szeptało dokoła. Jane zapomniała niemal o trzech smakowitych krewetkach, jakie pozostawiła na talerzu, bo całą jej uwagę pochłonał zmierzający ku podium mężczyzna. Miał jakieś trzydzieści parę lat, był wysoki, dobrze zbudowany - odnosiło się wrażenie, że nie mieścił się w swojej czarnej skórzanej kurtce.

Serce Jane zaczęło mocniej bić, a delikatny powiew ciepła na plecach odczuła jak pożar lasu.

Stanął przed nią nie któryś z tych wystrojonych lalusiów. To był byle jak ubrany kowboj o dumnej twarzy, krótko ostrzyżonych brązowych włosach, nie odmawiający chyba sobie ulubionych dań, na przykład w postaci krewetek.

Jane zabrakło tchu na widok ukazującego się tłumowi, pewnego siebie Bobby'ego Callahana o niesamowicie niebieskich oczach. Daleko mu było do klasycznej urody, ale towarzyszący mu zapach - zapach skóry nagrzanej słońcem, typowo męski zapach - sprawiał, że był tu, w tym pokoju najbardziej seksownym mężczyzną.

Obserwowała, jak dopasowuje mikrofon do swego wzrostu.

- Przede wszystkim chciałbym podziękować Mary Beth i Halowi za zorganizowanie tej imprezy, z której dochód zasilili fundusz wspomagający chorych z zespołem Downa i przeznaczone dla nich R-ranczo, ranczo rehabilitacyjne. Jestem także wdzięczny za zaproszenie mnie tutaj, bym mógł przemówić w tej sprawie do wszystkich obecnych. Tym bardziej, że powszechnie wiadomo, jak potrafię zanudzać.

Przerwał i uśmiechnął się z niemal łobuzerską miną.

Nogi się pod Jane ugięły, weszła w tłum, kierując się bliżej podium.

- Mój ojciec zwykł mawiać - zaczął Bobby z teksańskim akcentem, z jakim mówili tu wszyscy - że jeśli wygląda na to, iż rzecz nie jest warta wysiłku, to raczej tak jest. Te jego słowa przemówiły do mnie, zaczęłam myśleć bardziej realnie, uświadomiłam sobie, co w życiu jest naprawdę ważne.

- Westchnął głęboko, po czym ciągnął głosem już bardziej pewnym: - Większość z was wie, że moja siostra Kimmy

zmarła przed miesiącem. Ona była inicjatorką stworzenia owego R-rancza, największego przedsięwzięcia w moim życiu, i bardzo mi jej brak. Ale pamięć o niej dopinguje mnie, motywuje do życia, do wstawania z łóżka co rano. Tak, ona cierpiała na zespół Downa, ale to nie osłabiało jej woli. Była silna i to ona rządziła mną. Ale była zarazem moją najlepszą przyjaciółką - mówił teraz ciszej, bez cienia uśmiechu. Rozejrzał się dokoła i wskazał na grupkę ludzi. - Sporo osób wie o tym R-ranczu. Mamy poranny program dla małych dzieci, popołudniowe godziny czytania, obozy letnie doskonalące sprawność umysłową, nauczanie upośledzonych psychicznie oraz fizycznie. Wielu z państwa wspomaga od lat tę placówkę, a inni dziś mogą się przyłączyć do tej akcji.

Bobby Callahan był niedościgniony, przykuwał uwagę mężczyzn gładkością mowy, poczuciem humoru, kobiet zaś - swoją miłością do siostry.

- Wiem - ciągnął - że mój ojciec czułby to samo i R-ranczo godne jest najwyższego wysiłku. - Pochylił głowę. - I wy chyba też tak sądzicie. Dobranoc państwu.

Rozległy się oklaski i Jane zauważyła, że wiele kobiet dokłada starań, by pięćdziesięciodolarowy tusz nie spłynął im wraz z łzami. Odwróciła spojrzenie od tłumu. Wspięła się na palce i zaczęła szukać wzrokiem Bobby'ego Callahana - czy w ogóle jest i czy jest sam, czy z kimś.

Nie mogła nadażyć za jego słowami, które sprawiały jej ból, podobnie jak dawno temu słowa matki, gdy mówiła jej, że traci wzrok. Dziwne. Wiele osób usiłowało porozmawiać z Jane o jej matce, o tym, co ona czuła przed laty, o jej lękach. Lecz Jane kryła się ze swoimi uczuciami. Wolała chyba

o tym nie myśleć. Jednakże tegoż wieczoru, z całkiem niewiadomych przyczyn Bobby'emu udało się dotrzeć do głębi jej serca.

Puls się jej rozszalał. Jane zauważyła Bobby'ego, gdy przy barze wymieniał uścisk dłoni z paroma mężczyznami, a potem wziął dwa piwa i wyszedł.

Ciekawa była, czy ktoś z nim pójdzie, a skoro nikt, ruszyła ona.

- Żeberka w galarecie? - zapytała młoda dziewczyna o zabójczo zielonych oczach, jaśniejszych tylko trochę od oczu Jane, ze srebrną tacą w rękę. - Dobrze smakuje z wytrawnym merlotem, jaki dziś serwujemy.

- Nie, dziękuję - rzekła Jane, potrząsając głową.

Kelnerka jest świetna, zarówno jej uroda, jak profesjonalizm, i Jane chętnie dowiedziałyby się, jak się nazywa, zdobyła numer jej telefonu, by zatrudnić dziewczynę do pracy podczas owego „światowego” przyjęcia. Ale gdy Bobby Calahan stanął na podium, wszystko inne przestało się liczyć.

Zazwyczaj mało by to ją wzruszało. Patrzyła na ogół na mężczyzn pod kątem przyszłości, mężczyzna jako materiał na męża, ojca jej trojga dzieci, które kiedyś w przyszłości zamierzała urodzić. Nigdy by się nie uganiała za wysokim, barczystym, gotowym do poświęceń kowbojem. Tego jednak wieczoru jakaś przemożna siła wypchnęła ją z sali, zbyt była oszołomiona i, szczerze mówiąc, przerażona, by ową siłę bliżej określić.

Po dziesięciu minutach poszukiwań i dopytywań się odnalazła go w końcu. Poszedł piętro wyżej, a potem szerokim korytarzem dostał się na wielki taras.



Lekki, choć zadziwiająco chłodny wiatr poruszał gałęziami drzew i sprawił, że Jane, chroniąc ciepło, objęła się ramionami.

Mężczyzna, który tak ładnie mówił, stał opierając się o poręcz, tyłem do niej, i pijąc piwo rozkoszował się najwyraźniej pięknem krajobrazu. Jane, niczym nieudolny szpieg, weszła chyłkiem na taras i przemknęła koło jakiejś wielkiej rośliny w donicy. Nie wiedząc w istocie, co z sobą począć, obserwowała go dobrych parę minut. A on wypił dwa piwa i zapatrzył się w czerń nocy.

W prawej stopie czuła mrowienie, kolana bolały ją przy zginaniu. O czym, do diabła, ona myśli, gdzie się podziała jej rzeczowość i zdrowy rozsądek?

Obejrzała się. Jeśli ktoś ją zobaczy w takiej sytuacji, stanie się obiektem drwin całej okolicy, co już zupełnie wykończy jej brata i bratową.

Teraz musi się ruszyć i ukradkiem wrócić na salę, gdzie odbywa się przyjęcie. Przecież jeśli naprawdę chce spotkać Bobby'ego Callahana, to jest na to co najmniej pięć sposobów.

- Mój ojciec zwykł mawiać - rozległ się niski męski głos - że do byka nie wolno podchodzić od przodu, do konia - od tyłu. - Obrócił głowę, spojrzął na krzew, jakby widział, że ktoś tam jest, i dokończył: - A do głupca - z żadnej strony. Za takiego mnie uważasz, tak?

Jane cała zamarła, zapało jej dech w piersi.

- Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, kochanie, to mów, nie owijaj w bawełnę.

Poczuła wilgoć na karku, pod upiętymi w węzeł włosami.

Kropla potu zsunęła jej się po szyi. Co ona ma teraz poczuć? Uciec? Udać, że jej tu nie było? A jeśli on podejdzie do krzewu, odgarnie liście i zobaczy ją, jak siedzi skulona?

Zamknęła oczy, zrobiła głęboki wdech i usiłowała zwolnić bicie serca. Lecz technika jogi na nic się tu zdała. Zmusiła się, by wstać. Rozgarnęła liście i wyszła ze swojej zielonej kryjówki.

- Przepraszam - rzekła nieśmiało.

Bobby Callahan zmierzył ją od stóp do głów.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Jane - odparła strzepując z sukni jakiś paproszek.

Uniósł ciemne brwi.

- Po prostu Jane?

- A nie jest tak prościej? Dla nas obojga?

- Możliwe, ale ja nie lubię takiej sytuacji. - Uśmiechnął się na widok jej zmieszania. - Pani wie, kim ja jestem, prawda?

- Tak, wiem.

- No to w porządku. - Skrzyżował na piersi swe potężne ramiona. - Nie ma sprawy.

- Jane Hefner.

Bobby zaniemówił na chwilę.

- Hefner? - zapytał.

- Niech pan nie robi takiej miny - rzekła, potrząsając głową. - Nie mam nic wspólnego z facetem, który wydaje ten magazyn z golasami.

Roześmiał się.

Przed paroma miesiącami zastanawiała się, czy nie używać nazwiska Al-Nayhal, ale tak długo była panną Hefner. W końcu to panieńskie nazwisko jej matki.

- A więc szanowna pani Jane Hefner zajmuje się szpiegowaniem ludzi, tak?

- Nie - odparła całkiem poważnie, co go jednak nie przekonało.

- Czyżby? - zapytał.

- Nie w takiej skali. Prawdę mówiąc, pan jest pierwszy.

Te słowa padły jakby wbrew jej woli, jakby chciała je cofnąć.

Bobby uniósł groźnie brwi, jednak uśmiech rozjaśnił mu twarz i zapytał:

- Pierwszy? Nie rozumiem.

- Moja sytuacja staje się coraz bardziej upokarzająca.

- Czy to oznacza, że pani skończy z tym?

- Oczywiście.

- Skończy ze szpiegowaniem?

- Tak będzie najlepiej. Widocznie nie potrafię.

- Czego? Uprawiać słownej potyczki, dokonywać łagodnego przesłuchania?

- Łagodnego? - zapytała z nutą humoru.

- Załóżmy - rzekł Bobby z groźnym błyskiem w oczach.

- Człowiek ma prawo, nie, ma obowiązek wiedzieć, dlaczego jest szpiegowany. Nawet jeśli czyni to piękna kobieta.

Był niesamowicie atrakcyjny, ale psychicznie - jakby w niedobrej formie. Jane stała, wpatrując się w niego bezczelnie, myśląc, że chętnie by go dotknęła - jego twarzy, bliźny nad górną wargą. Zastanawiała się, jaki jest w łóżku - szorstki, grubiański czy też nieznośnie powolny. I czy po śmierci siostry pozwolił, by ktoś pocieszył go, utulił w smutku.

Takie oto dziwne myśli chodziły jej po głowie - przyspie-

szały bicie jej serca, a w żołądku czuła ciepło, jakby wypiła kubek miodu.

- Czy jest coś, co chciałaby pani mieć? - zapytał z lekkim uśmiechem na ustach, przerywając te jej rozmyślania.

- Nie - odparła, ale zaraz wycofała się jakby i potrząsnęła głową. - Chwileczkę, to nie tak... - Jak ona ma to powiedzieć? - Owszem, ja byłam... zainteresowana panem.

- Byłam?

- Nie, jestem - odparła bez namysłu.

- Doprawdy? - zapytał z uśmiechem, opierając się o poręcz tarasu.

- Pan powiedział... - zaczęła podchodząc do niego. - Pan powiedział... o pana siostrze... co pan do niej czuje... To mnie bardzo wzruszyło, naprawdę...

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. To, co przedtem było miłym uśmiechem, stało się w jednej chwili nieprzyjemnym grymasem,

- A więc w gruncie rzeczy moja osoba pani nie interesuje. Kierowała panią litość.

- Nie - odparła, wpadając mu niemal w słowo, zdziwiona, że tak źle ją zrozumiał, i zdziwiona tym, że nie przerwała tej rozmowy.

Wypił haust piwa i mruknął:

- Pies z podkulonym ogonem, tak?

- Absolutnie nie.

- Kochanie, znam to uczucie.

Na niebie wiatr igrał z chmurami, które przesłaniały co chwila księżyc i rzucały tajemniczy cień na twarz Bobby'ego Callahana. Ale Jane widziała wyraźnie jego oczy. Ciem-

ne i błyszczące z emocji. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Oczy, które kryły ból i żal. Widziała takie spojrzenie w lustrze, u siebie. I w oczach matki, zanim Tara Hefner straciła wzrok.

Postąpiła jeszcze krok w jego stronę.

- Pan jest w błędzie, panie Callahan, bo...
- Nie sędzę - przerwał jej.
- Nie powodowała mną litość.
- Co w takim razie, panno Jane?

Zaskoczyło ją to pytanie. Tak jak i wyraz jego twarzy. Nietajona pasja - gniew, a może pragnienie seksu? Nie wiadomo.

Stała na miękkich nogach, a jej serce waliło jak oszalałe. Czego ona chce od tego człowieka? Rozmowy? Wzajemnych zwierzeń i dzielenia się planami na przyszłość? Bezcelność - wymagać tego od obcego człowieka!

Żar pożądania przeniknął jej ciało. Kompletna bzdura, pomyślała, zwariowałam, skoro chcę go dotykać, tulić się do niego.

Spojrzała mu prosto w oczy i rzekła przeproszającym tonem:

- Czuję się tu jak idiotka. To nowa dla mnie sytuacja. A chciałabym powiedzieć, że nie uganiam się na imprezach za mężczyznami, nie śledzę ich i nie proponuję...

- Właśnie, „proponuję” - przerwał jej znowu i spojrzał na nią z błyskiem gniewu w tych jego niebieskich oczach. - Co ty proponujesz, kochanie?

Z całą mocą odczuła jego bliskość, ale odrzuciła tę myśl. Na chwilę.

- Myślałam, że chciał pan porozmawiać.

Popatrzył na nią chłodno. Głębokie cienie pod oczami świadczyły o tym, że nie sypiał po nocach. Czy to smutek odbierał mu sen, czy może gładkie ciało kobiety?

- Wiem, co to znaczy strata kogoś bliskiego - powiedziała przyciszonym głosem. - Wiem, co to znaczy być pod presją, gdy w rodzinie jest ktoś niepełnosprawny.

Chwilę milczał, po czym spojrział na nią, a właściwie nie tyle na nią, ile przez nią. Potrząsnął głową i rzekł:

- Nie ma o czym mówić, **panno** Hefner. Koniec kropka.

- Panie Callahan...

- Nie szukam bratniej duszy i tym bardziej nie szukam litości.

- To nieporozumienie...

Zbliżył się do niej o parę kroków.

- Zamówić pani piwo?

- Nie. Dzięki.

- A może whisky?

Był blisko, czuła jego zapach. Serce podeszło jej do gardła. Puls walił niezmiennie.

- Nie. Dzięki.

Wzruszył ramionami i nagle gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

- To chyba tak - powiedział. - Mam nadzieję.

Jane ani nie miała czasu pomyśleć, a tym bardziej zareagować, gdy Callahan pochylił się i pocałował ją w usta. Poczowała ucisk w żołądku i słabość w kolanach. I żadnej słodyczy. Był rozpalony, głodny jak wilk i przerażająco domagający się coraz więcej.

Tego wieczoru odebrała jego odczucia - namiętność, złość, lęk; cała płonęła.

Przysunął się nieprawdopodobnie blisko. Był bardzo wysoki, i choć Jane nie zbywało na wzroście, to rozmawiając z nim, musiała unosić głowę, by nie tracić kontaktu wzrokowego. Gdy to uczyniła, Bobby pocałował ją jeszcze mocniej, co było chyba zgodne z jej wolą.

Spojrzał potem na nią przenikliwie, ale i z czułością.

- Dałaś mi tyle, ale czekam na więcej, kochanie.

Czuła prąd przebiegający przez ciało, przywoływała swój zdrowy rozsądek, ale na nic się to zdało. Wobec tego, co czuła, nic więcej nie miało żadnej wartości. Bobby Callahan całował ją z taką pasją, tak zapamiętała, jakby chciał całą ją w siebie wchłonąć. Nic poza tym, czego pragnął, nie docierało do niego.

Nigdy jeszcze nie oddawała się mężczyźnie tak bezwstydnie i bez zastrzeżeń.

Przemagając zakłopotanie, położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła ku sobie jego głowę. Wtedy zapytał:

- Jesteś tego pewna?

- Tak - odparła.

- Bo wiesz, czego pragnę?

- Wiem. Ja też.

Skierował wzrok na drzwi.

- Ale tutaj nie możemy.

To prawda, pomyślała, ale było jej już wszystko jedno, gdzie w końcu to się stanie. Na tarasie, w łazience, pod prysznicem. Pragnęła tego mężczyzny, tego obcego mężczyzny. Uświadomiła to sobie i ogarnęła ją dzika rozpacz. Czy-

ste szaleństwo, myślała, lecz chciała ponad wszystko połączyć się z tym właśnie człowiekiem, który wtargnął w jej duszę bez przyzwolenia.

- Chodź.

Zniósł ją z tarasu, dotykając ustami jej ust, pieszcząc je rączką, niż całując. Czas zdawał się stanąć w miejscu, posłuszny jego woli.

Potem Jane usłyszała odgłos otwieranych drzwi. W pokoju panował mrok rozjaśniany blaskiem księżyca wpadającym przez okno. Nie wiedziała, czy są w sypialni, czy w pokoju biurowym, nie obchodziło ją to. Ważny był tylko Bobby, jego usta.

Dobiegło jej uszu, jak pchnął nogą drzwi. Nie są zamknięte, stwierdziła w duchu, marząc o dotyku jego mocnych dłoni.

Położył ją na łóżku, zdjął kurtkę, koszulę. Obserwowała go z uchylonymi ze zdziwienia ustami. Twarz jego krył cień - światło księżyca rzucało światło na jego muskularną klatkę piersiową, przedramiona, dłonie.

Ich spojrzenia się spotkały, twarz Jane rozjaśnił uśmiech.

- Będzie ci to lepiej smakowało niż piwo, to ci mogę obiecać.

- Wiem - rzekł niby spokojnie, ale mięśnie napięte miał jak naciągnięte liny.

- Dzięki tobie... - zaczęła.

- Będę cię wprowadzał stopień po stopniu, kochanie.

W jednej sekundzie przywarł ustami do jej ust. I chwilę potem całował jej szyję, kark, a ona przebierała palcami w jego włosach.



Gdy ściągnął z niej suknię, z jego ust wyrwał się jęk. Była bez stanika. Na podłodze poniewierały się części jej garderoby. Czuł bicie jej serca, gładkość płaskiego brzucha, ud. Tak dawno.... Minęło prawie dwa lata, kiedy mężczyzna jej dotykał. Zapomniała prawie, jak to jest.

Ale właściwie to chyba nikt przedtem jej nie dotykał. Nigdy czegoś podobnego nie zaznała. Takiej zachłanności.

Płonęła z oczekiwania.

Ajemu nie było śpieszno. Powoli wzmagął napięcie - z sekundy na sekundę.

Leżeli potem ramię przy ramieniu. Spoceni, ukojeni, a żółty blask księżycy migotał na ich wilgotnych ciałach, dając jakby świadectwo tego, co się między nimi wydarzyło.

Gdy stała już obok łóżka, na wspomnienie tego, co się działo, przeszył ją dreszcz - te jego silne, mocne ręce żądające, domagające się...

Mało brakowało, a odrzucając wszelkie odruchy zdrowego rozsądku wpełzłaby z powrotem pod kołdrę. Ale nie; przykryła go troskliwie, wsunęła nogi w szpilki i wymknęła się z pokoju.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Była jak nieposkromione zwierzę, ale nie to go urzekło. Zachwycił się jej urodą i elegancją w sposobie bycia. To właśnie sprawiło, że krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

Pomarańczowe słońce skłaniało się za horyzont i Bobby przyspieszył kroku. Obok stapała ciemnej maści klacz, podnosząc kurz podkowami. Prowadzenie dwulatka to mozolny, żmudny proces; całe tygodnie ćwiczeń na placu, zanim można sobie pozwolić na prawdziwą jazdę. Lecz nawet potem emocji jest co niemiara. Można łatwo spaść.

Ale ta dama, rozmyślał Bobby obrzucając klacz pełnym aprobaty spojrzeniem, była super. Oczy jej płonęły z podniecenia, jakby prowokowała go, by rzucił jej wyzwanie.

Pogładził klacz po szyi - buntowała się, zanim zrozumiała, że to gest pokojowy, nie presja, by wykonała coś, na co nie miałyby ochoty. Nie było dnia, w którym Bobby nie ujeżdżałby albo nie trenował konia dla kogoś. Tak właśnie zarabiał na życie, utrzymywał ranczo i chował dzieci. Oczywiście zdarzały się duże prywatne dotacje, ale było to dawno i nieprawda.

Przejechał dłonią po pysku klaczy, żeby się rozluźniła, nie

była taka spięta. Szykował ją dla Charlie'ego Docksa, starego człowieka, który mieszkał na północ od Paradise i do którego Bobby parę lat temu zwrócił się o pomoc po śmierci ojca. Ale za klacz on od niego forsy nie dostanie, bo facet tej forsy nie ma. Obiecał mu tylko ładnego konia na biegunach dla dzieciaków.

- Czy to kobyła dla Charliego? - zapytał Abel.

Bobby uniósł wzrok.

- Tak - odparł.

Abel Garret stał przy bramie, przytrzymując ją nogą. Dawny zarządca R-rancza był prawie tego wzrostu co Bobby, ale starszy od niego, o siwiejących blond włosach, wyblakłych zielonych oczach i zniszczonej twarzy. Zdaniem Bobby'ego był już dobrze po pięćdziesiątce. Jak się wyprostował, wyglądał młodziej, ale na ogół pochylał się i to go postarzało. Postarzało go też to, że żona porzuciła go dla innego. Tak czasem dzieje się z mężczyznami.

- Ładna sztuka - zauważył Abel.

Bobby delikatnie i miarowo szeszywał kurz z konia.

- Ładna. Ale i ostra.

- Płacą ci za to?

- Można tak powiedzieć - odparł Bobby.

Abel chrząknął, zdjął kurtkę i przejechał dłonią po włosach.

- Znaczą, nie wysilają się, tak?

- Daj spokój, chłopie. Facet nie ma za wiele poza dobrą babą i głową w chmurach. Porządny koń jest mu potrzebny

- No chyba, ale i my nie mamy za wiele.

Bobby podrapał się po twarzy z dwudniowym zarostem. Nie był człowiekiem bogatym, ale nie narzekał - miał co jeść, dobry biznes, a zatem i dobrą robotę.

- Tylko że my też nie w ciemną bici - rzekł z zaprawionym ironią uśmiechem. - A co do żony, to według mnie masz więcej niż jedną.

- Zamknij się! - warknął Abel.

- Nie zapominaj, że rozmawiasz z szefem - powiedział Bobby chichocząc.

- Wiem, wiem.

Bobby pochylił się i podrapał klacz po muskularnych łądźwiach.

- Dziś przyjeżdża Janice Young - oznajmił.

- Kto? - zapytał Abel.

- Dziewczyna, którą w ubiegłym tygodniu poznałem na dobroczynnym przyjęciu Turnboltów.

Bobby'emu zrobiło się gorąco na to wspomnienie. Ale to gorąco nie miało nic wspólnego z Janice Young. Bo tego wieczoru Bobby widział tylko jedną kobietę. Zielone oczy, włosy zaczesane do tyłu i długie nogi, dwa razy dłuższe niż u normalnych dziewczyn. Kobietę, o której myślał przez wszystkie siedem ostatnich nocy. Tkwiła w jego mózgu, czuł ją w całym swoim ciele.

- Aha - powiedział Abel, a popołudniowe słońce wciąż paliło go w plecy. - Zapomniałem cię zapytać, jak było na tej imprezie.

- Nudy na pudy.

Bobby nie lubił mówić o kobietach, nawet z Ablem.

- A ta dziewczyna? Skąd się tam wzięła?

- Firma prawna jej męża przekazuje fundusze na R-ran-  
czo.

- No, całkiem nieźle - orzekł Abel, po czym spojrzał z roz-  
bawieniem w oczach na Bobby'ego. - I nie chce nic w za-  
mian?

Bobby odpędził natrętą muchę.

- Abel, ona ma przeszło siedemdziesiąt lat.

- I co z tego. Masz wzięcie u bab. Zawsze po twoim powro-  
cie od którejś z nich telefon się urywa. Odbieram uprzejmie  
i czaruję jedną i drugą, że nie ma cię w domu. - Potrząsnął  
głową, przygryzł wargę. - Nie piszę się na twoją sekretarkę,  
Callahan, nie licz na mnie.

- Nikt cię nie prosił, żebyś rozmawiał z nimi. Niech ta jed-  
na z drugą zadzwoni później.

Abel mruknął coś pod nosem i zarzucił na ramiona mary-  
narę, całkiem niepasującą do powycieranych dżinsów.

Bobby spojrzał na niego znacząco.

- Mamy szczęście, że do nas dzwonią, i cholerne szczę-  
ście, że posiadamy fundusze. Dla dzieci, nie wolno ci o tym  
zapominać.

Abel popatrzył na Bobby'ego, jakby ten chciał go zabić.

- Pamiętam, i ty dobrze o tym wiesz.

- Tak, wiem - odrzekł Bobby i rzucił szczotkę na ziemię.

Zapadło milczenie, a oni stali jak kołki. Dziwne. Gdy  
Kimmy żyła, stanowili rodzinę - zawsze we trójkę, w święta  
i w dni powszednie, przy pracy na ranczo. Była wesoła, roz-  
śmieszala ich, by nie brali życia tak na serio. Po jej śmierci  
obaj starali się, robili co mogli, by jakoś się odnaleźć na tym  
świecie.

Pamięć o Kimmy, jej pięknej twarzy, uśmiechu i wielkich niebieskich oczach wzmagala tylko ból w sercu Bobby'ego po jej przedwczesnej stracie.

Abel odchrząknął, pchnął bramę.

- Mam ochotę na piwo, a ty?

Bobby ledwo skinął głową i mruknął:

- Nieźle to brzmi.

Klacz zarżała, oczy jej rozbłyły na myśl o wolności, co Bobby rozumiał doskonale. Dobrze się dziś sprawiła. Dał jej klapsa i coś powiedział pochwalnie. Odwrócił się do Abla, ten szybko otworzył bramę, i niech klacz idzie na pastwisko.

Mężczyźni szli ramię w ramię do głównego domostwa - ich kroki uderzały miarowo i pewnie o bruk.

- Kiedy odbędzie się następna impreza dobroczynna? - zapytał Abel.

- W piątek wieczór.

Bobby był brudny i zakurzony. Tak jak ostatnio często. Nieprzyjemny widok. Ale chciał znów zobaczyć tamtą kobietę, już, teraz. Zastanawiał się, czy będzie na tej imprezie. Chciał się przekonać, że ona naprawdę istnieje, czy te jej szmaragdowo-niebieskie oczy zmieniają barwę, gdy ją całuje. Pragnął znów ją pieścić, robić z nią to, o czym marzył, o czym myślał zaraz po przebudzeniu w pustym łóżku.

Sapnął i odwrócił oczy, bo skierowały się w stronę domu, w stronę kuchni. Zachowywał się jak osioł, nie wyłącza-  
jąc żadnej głupiej cechy tego zwierzęcia. Lubił kobiety, lubił mieć je w swoim łóżku, i ten wieczór u Turnboltów nie mógł skończyć się inaczej.

Wziął z lodówki dwa piwa. Jedna dobra noc, seks dający

mu satysfakcję - to mu na ogół wystarczało. Ale Jane Hefner wprowadziła zamęt w sercu Bobby'ego - i pragnął zobaczyć ją jeszcze raz. Nie dlatego, by chciał jej dotknąć, ale z tej przyczyny, że pragnął wiedzieć, dlaczego, do diabła, go porzuciła. To pytanie zżerało go.

- Będzie to impreza kostiumowa - powiedział Abel łykając piwo.

Bobby z uśmiechem oparł się o bar.

- Aha, barbecue.

- Będzie nadziewany schab i jeszcze inna potrawa o francuskiej nazwie.

- Zamierzam zareklamować R-ranczo, to wszystko.

- Jasne.

Bobby, z uśmiechem, przybliżył swój kufel do niego.

- Chcesz w to wejść?

- Pracuję dla ciebie, Bobby - powiedział Abel wolno i z namysłem. - Czasami nawet wykonuję za ciebie telefony. Ale na pewno nie umawiam się za ciebie na randki.

- Nie widziałem cię jeszcze tak zdenerwowanej. Co z tobą, siostrze?

Mężczyzna, który stał przed Jane, był wysoki, dorodny, niesamowicie przystojny - i miał oczy identyczne jak ona.

Sakir Al-Nayhal podał Jane rękę, gdy wychodziła z samochodu.

- U mnie wszystko w porządku, Sakir. A ty uważaj.

- Uważaj? - Ściągnął brwi pod swoim nowym brązowym kapeluszem. - Jak to „uważaj”?

Rita, żona Sakira, roześmiała się i wzięła go pod rękę.

- Bo ona jest zdenerwowana, kochanie.

- Dlaczego jesteś zdenerwowana? - zapytał Sakir, gdy zbliżali się do wielkiego domostwa na ranczu Gregera.

Jane uniosła oczy w górę. Gdyby tylko jej brat wiedział, dlaczego puls jej zwariował i z trudem chwyciła oddech. A on wszystkie myśli skupiał na swojej nowo narodzonej córce, żonie, pracy, i prawie nie zauważył, że jego siostra zajmowała się w ubiegłym tygodniu sprawami charytatywnymi.

Jane natomiast nie mogła przestać myśleć o wydarzeniu u Turnboltów i o Bobbym Callahanie. Te jego szafirowe oczy prześladowały ją we śnie, również jego usta, na których odbił się ślad pocałunku, a także to, jak gwałtownie, namiętnie ją kochał. Jakby tego było mało, myśli jej przemknęły od fizycznych doznań do sfery bardziej emocjonalnej - czy mianowicie dobrze zrobiła zostawiając go bez słowa. I czy to właśnie dlatego nie próbował jej odnaleźć...

Myśl jej przeskoczyła na dzisiejsze zakupy: brązowe wygodne buty oraz dżinsy i wypłowiła dżinsową bluzę.

To prawda, nie miała doświadczenia w sprawach miłości, ale wiedziała jedno - była z nim tej nocy bardzo szczęśliwa.

Puszczenie wodzy fantazji to rzecz niezwykle ryzykowna, uznała, gdy przekraczali próg domu Gregera i znaleźli się w tłumie hałaśliwych bogatych kowbojów i kowbojek

Ranczo wyglądało jak z bajki w wydaniu teksańskim. Nie było to gospodarstwo, jak sobie wyobrażała R-ranczo Bobby'ego Callahana, tylko elegancki wiejski dom o belkowanych sufitach, lśniących podłogach przykrytych kolorowymi chodnikami, z masywnym kominkiem z czerwonej



cegły i ścianą ze szkła, rozsuniętą teraz, by goście mogli bez przeszkód wychodzić na podwórze.

Gdy Sakir wyprowadził je na zewnątrz, gdzie w istocie rzeczy odbywało się przyjęcie, Jane, rzuciwszy okiem tu i ówdzie, szukała w tłumie najwyższego, najprzystojniejszego i najbardziej seksownego kowboja. Przecież powinien tu być! Teksaszczyki chodzą przecież wszędzie. A on był znanym przedstawicielem Dallas, zawsze wyróżniał się z tłumu. Mary Beth Turnbolt opowiadała jej o nim, i mowa była o nim w internecie, o nim, Bobbym Callahanie i jego ranczu.

Nerwy i emocje obudziły tornado w jej żołądku, i wtedy właśnie usłyszała kobiecy głos:

-Jane?

Zmusiła się, by się obejrzeć.

Rita obserwowała ją z błyskiem ciekawości w oczach. Również Sakir nie tuił zdziwienia. A Jane uśmiechnęła się do nich obojga i rzekła:

- Cieszcie się wolnością, bo ja idę do roboty; muszę spróbować barbecue, zająć się wyszukaniem na nasze przyjęcie obsługi i masą innych rzeczy.

- Nie chcemy, żebyś pracowała przez całą imprezę - rzekła Rita strzepując paproszek ze swoich džinsów. - Mam rację, Sakir?

Mięsiste usta Sakira rozciągnęły się w uśmiechu.

- Praca daje szczęście - powiedział, kiwając głową. - Ale największe szczęście, największą przyjemność dajesz mi ty, kochanie.

- To już lepiej - rzekła Rita ze śmiechem.

Jane obserwowała przez chwilę tę parę. Podobnie jak jej najstarszy brat Zayad i Sophie, jej najlepsza przyjaciółka - oni również pięknie się kochali. Zazdrościła im, zastanawiając się zarazem, czy jej taka miłość kiedyś się przydarzy.

- Zobaczymy się później, prawda? - zapytała.

Sakir skinął głową, a Rita rzekła z uśmiechem:

- Spotkamy się przy parkiecie podczas obiadu, za jakąś godzinę, tak?

- Umowa stoi - potwierdziła Jane.

Gdy odeszli trochę, Jane spojrzała z drwiącym uśmiechem na swego brata, który zawsze nosił markowe garnitury albo również markowe sportowe ubrania, a teraz, w dżinsach i kamaszach, wyglądał naprawdę komicznie.

Ale oni oboje byli daleko od Emandii i jej etykiety, pomyślała okrążając podwórze, przemierzając ogrody, skąd wiatr przywiewał zapach barbecue, gdzie zebrali się ludzie, by upajać się zapachem pieczonego mięsiwa. Tak, była z dala od kraju ojca i od Kalifornii, kraju matki. Była tu, w Teksasie, starając się zdecydować, gdzie ma przebiec jej życie, i zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrealizuje swój plan otwarcia własnej restauracji.

Rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nawet śladu po Bob—bym Callahanie i pomyślała, że będzie srodze zawiedziona, jeśli on nie przyjdzie. Ubrała się starannie, w piękną zieloną suknię, i prawie dwadzieścia minut poświęciła na fryzurę i makijaż.

Przepędzając z głowy smętne myśli, postanowiła skoncentrować się na prawdziwej przyczynie zjawienia się jej tu,

na imprezie Gregera: chciała przeprowadzić rozmowy z obsługą i ewentualnie zaproponować komuś pracę.

Około ósmej na imprezę Sakira i Rity wynajęła dwóch kelnerów i pomocnika kucharza. Oraz skosztowała kilka najlepszych na świecie dań. Rada z siebie, zaafierowana spotkaniem z bratem i bratową, nawet nie zauważyła, że ktoś położył rękę na jej ramieniu.

A gdy rozległ się męski głos, niski, zmysłowy - wróciły jej wspomnienia tamtej nocy, szaleńczej, wspaniałej, najpiękniejszej chyba nocy w jej życiu.

- Pięknie dziś wyglądasz, kochanie.

Obróciła się, wstrzymała oddech. Stał przed nią - a straciła nadzieję, że zobaczy dziś uśmiech na twarzy tego mężczyzny. Wpatrywała się w niego. Miał na sobie dżinsy, w których z trudem się mieściły jego potężne uda, beżową marynarkę i niebieską koszulę w odcieniu jego oczu.

Zdjął kapelusz i skinął jej głową.

Czuła się cała spięta, jak nastolatka.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - rzekł z uśmiechem pełnym zmysłowości. - Tylko to masz dla mnie?

- A czego się spodziewałeś? - zapytała, przechylając na bok głowę.

Wzruszył ramionami.

- Odpowiesz mi na parę pytań? - zapytał.

- Postaram się.

- Dlaczego wstałaś z łóżka i zostawiłaś mnie w środku nocy?

Zaparło jej dech w piersi, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Po uprzednim wspólnym wskoczeniu do tegoż łoża.
- Co w tym złego?
- Posłuchaj. - Potrząsnęła głową. - Uznałam, że lepiej będzie, gdy ja w tym domu nie pokażę się tylko w prześcieradle...
- Co ty opowiadasz, kochanie? - rzekł z uśmiechem. - A czyż nie czułaś żaru moich objęć?

Roześmiała się.

- Zaczerwieniłam się? - zapytała.
- Nie, wcale się nie zaczerwieniłaś. I jesteś piękna jak zawsze.

Zrobiło jej się gorąco, widziała jak przez mgłę, gwar tłumu wyciszył się.

- Tak jak mówiłam, lepiej nie przywiązywać do tego, co się stało, żadnej wagi. - Uśmiechnęła się, on się roześmiał.
- Byliśmy w końcu w cudzej sypialni.
- Nie za bardzo cudzej - sprostował Bobby. - Hal i Mary są moimi starymi przyjaciółmi.
- Twoimi, nie moimi - podkreśliła Jane.
- To bardzo mili ludzie. Przesyłają ci uściski.
- Wolałabym to usłyszeć przed dziewięcioma dniami.
- Dziesięcioma - poprawił.

Jane popatrzyła na niego, na te jego uduchowione niebieskie oczy, i poczuła ucisk w sercu, i naprężyły jej się mięśnie ud. A więc myślał o niej, liczył dni, kiedy ja zobaczy.

Odchrząknęła.

- Turnboltowie nie zapytali cię zatem, dlaczego zasnąłeś w ich gościnnym pokoju. Goły?
- Sądziłem, że ktoś mnie przywiązał...
- Aha.

- Oni są naprawdę bardzo gościnni. Rano - jajka na boczku, sok pomarańczowy.

- Kapitalnie - orzekła Jane, podczas gdy za jej plecami szef zespołu zapowiadał two-stepa.

- Nic tak nie służy zdrowiu jak poranna aktywność - powiedział. - Zanim zrażę cię do siebie swoją starokawalerską szczerością, proszę, zatańcz ze mną.

- Nie znam tego tańca.

Wziął ją za rękę i poprowadził na środek sali.

- Zaufaj mi, Jane Hefner.

- Ale ja prawie cię nie znam - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Możemy to nadrobić, nie uważasz?

- Chyba tak.

Nigdy w życiu tak beczelnie nie flirtowała, ale, rzecz jasna, gdzie jej do Bobby'ego Callahana.

Poruszał się w tańcu z męskim wdziękiem, powoli, pewnie, że ona poddaje się każdemu jego ruchowi. Gdy muzyka rozbrzmiała ostrym crescendo, obrócił partnerkę i przytulił do siebie.

- Wiesz już, dlaczego tu przyjechałem: by ratować ranczo. Ale w jakim celu ty tu jesteś? Nie jesteś panią z towarzystwa, prawda?

- Nie - odparła spuszczając nisko głowę. - Jestem kucharką.

- O, kobieta, która umie gotować - powiedział, można rzec, warkliwie - jest zawsze bliska memu sercu.

Zmarszczyła brwi i oznajmiła z udawaną surowością:

- Mówisz jak facet z ubiegłego wieku, Bobby.

- Być może - uśmiechnął się - brzmi to z lekka staroświecko, ale co było, minęło.

- Co „było, minęło”? Gotowanie w ogóle? Czy gotowanie dla męża?

Puścił jej dłoń i dotknął róna swojego kapelusza.

- Nie zrozum mnie źle. W życiu różnie się zdarza. Kobiety nie mają już czasu, by troszczyć się o mężczyzn, a mężczyźni nie mają czasu bawić kobiet i zabiegać o ich względy.

Jane otworzyła już usta, by sprzeciwić się jego tezie, ale równie szybko je zamknęła. Miał rację. Nie słyszała jeszcze, by ktoś wygłaszał takie opinie. A właściwie nigdy nie słyszała, by ktokolwiek mówił w ten sposób - uczciwie, normalnie - i by przy tym był tak bardzo pociągający.

- Zatem jesteś kucharką - rzekł. - Gdzie pracujesz?

- Nie próbowałaś dowiedzieć się o mnie czegoś więcej? - dopytywała się.

- Właściwie tak. Ale Turnboltowie nie znają Jane Hefner.

- Zmrużył oczy. - No więc, gdzie pracujesz? Bo przyszedłbym...

- Żeby mi przeszkadzać? - zażartowała.

- Troszeczkę - odrzekł powoli, oczy przysłaniał niebezpiecznie powiekami, stosownie do rytmu muzyki.

Żar podniecenia przebiegł przez jej ciało, a wiedziała doskonale, że nie oprze się temu człowiekowi. Chemia iskrzyła między nimi, jak to określają w kolorowych magazynach.

- Ja nie pracuję w tutejszej restauracji - rzekła. - Dość długo pracowałam w Kalifornii, ale ostatnio dowiedziałam się, że mam tu trochę rodziny i mogę prowadzić coś w rodzaju banku cateringowego. Ojej, zanudzam cię chyba...

- Przestań! - Ujął jej palce między swoje, choć muzyka przestała już grać, a goście zeszli z parkietu. - Nuda to ostatnia rzecz, jaka mi się z tobą kojarzy.

- Jane?

Rozpoznała mężczyznę, który jej imię wypowiedział, ale nie od razu oderwała wzrok od Bobby'ego.

- Chyba wam w czymś ważnym przeszkodziliśmy - powiedziała Rita słodkim głosem, w którym wyczuwało się śmiech.

- A ja jestem z tego rad - rzekł Sakir lodowatym tonem.  
- Jane!

Jane spojrzała na brata i bratową i uśmiechnęła się przepaszająco.

Rita była wyraźnie zadowolona, oczy jej błyszczały, Sakir przeciwnie: był spięty, zdenerwowany.

Nie wiedząc, co trapi jej brata, Jane dokonała prezentacji:

- Sakirze, Rito, pozwólcie...

Sakir przerwał jej dość gwałtownie:

- My się znamy.

- Hmm - mruknęła Rita.

- Niestety - burknął Bobby.

Jane zmierzyła go spojrzeniem. Nie był to już ten czarujący mężczyzna, dowcipny, zmysłowy, z którym tańczyła przed chwilą. Przed nią stał człowiek jak wyryty w kamieniu, gruba żyła przecinała mu skroń.

- Co się stało? — szepnęła do niego.

Bobby jakby w ogóle jej nie słyszał. Patrzył na Sakira dziwnym wzrokiem jastrzębia.

- Czy możemy zachowywać się dziś wieczór jak kulturalni

džentelemini, Callahan? - zapytał Sakir lodowatym tonem, wyciągając rękę w stronę Bobby'ego.

Ten, zmrużywszy oczy, spojrział na Sakira.

- Prędzej w piekle nastanie mróz, niż podam rękę człowiekowi, który ukradł dobra mojego ojca, przyczyniając się tym do jego śmierci.

scandalous



## ROZDZIAŁ TRZECI

Niedługo minie osiem lat od śmierci ojca, ale gniew wciąż wrzał w sercu Bobby'ego, a nawet był teraz silniejszy i bardziej zapiekły.

Z Sakirem Al-Nayhalem krążyli wokół siebie, niby rzucając sobie wyzwania, choć żaden mięsień w twarzach obu nawet nie drgnął. Przyjęcie trwało jakby poza nimi. Goście jedli i pili, kobiety uwodziły mężczyzn, nie wyłączając gospodarza, a pani domu nie ustawała w wysiłkach, by wszyscy dobrze się czuli.

Jane, którą Bobby mocno chwycił za rękę, zapytała głosem pełnym niepokoju:

- O co chodzi, Bobby?

Wskazując na Sakira, Bobby mruknął:

- Ten facet, ten twój przyjaciel, to zwykły złodziej i kłamacz.

- Co takiego? - zapytała Jane spłoszonym tonem. - O czym ty mówisz?

- Wprawdzie bogaty i wpływowy, ale złodziej.

- Uważaj, Callahan - ostrzegł go Sakir z grymasem niechęci na twarzy.

- Sakir! - powiedziała żona Al-Nayhala tonem z lekką za-

niepokojonym. - Pomówmy o tym kiedy indziej. To raczej nie miejsce...

- O czym mamy pomówić? - zapytała Jane, spojrzawszy na Sakira.

- Jest zły, bo jego ojciec stracił dobra rodzinne - wyjaśnił Sakir, zwracając się do Jane.

- Niczego sam nie stracił - mruknął groźnie Bobby, nie troszcząc się, że ktoś go może słyszeć. - Postanowiliście go zniszczyć i zniszczyliście.

- Zniszczyć? - powtórzył Sakir prychając głośno, jakby to był największy nonsens na świecie.

- Jak często, Al-Nayhal, nachodziłeś mego ojca, by sprzedał ci majątek?

- Ja go nie.

- Ile razy? Pięć? Sześć?

- Sakir, co on opowiada? - zapytała Jane tonem już niemal przerażonym.

- Kiedy przybyłem do Teksasu - zaczął Sakir z westchnieniem - chciałem nabyć parę akrów ziemi. O ropie mowy już właściwie nie było. Ziemia Callahana wymagała nakładu pracy, zmian, które ja byłem w stanie przeprowadzić, więc kupiłem ten teren.

Bobby parsknął.

- Jesteś bardzo dobry w tej opowieści, czasem nawet wydaje mi się, że w nią wierzysz. - Ściszył głos i mówił dalej przez zaciśnięte zęby. - Sęk w tym, że mój ojciec nie sprzedał ci tej ziemi, musiałeś więc zdobyć ją innymi metodami.

- Rita ma rację - rzekła Jane, czując wzrok innych na sobie. - Porozmawiajmy lepiej o tym w domu.

- A jeszcze lepiej będzie, jak odłożymy tę rozmowę na inny termin - rzekł Sakir tonem stanowczym. - To staje się doprawdy męczące.

Bobby spojrział na Jane - była spięta, czuła się wyraźnie nieswojo.

- Skąd ty znasz tego faceta? - zapytał, nie zważając na to, że cofnęła się, odeszła od niego parę kroków.

Milczała, spoglądając to na niego, to na Sakira, to znowu na niego.

- Jane jest moją siostrą - oznajmił Sakir.

-Co?!

Dziwne uczucie ogarnęło Bobby'ego, coś go ścisnęło w żołądku.

Sakir uniósł głowę.

- Ona jest z Al-Nayhałów.

- Mówiłam ci, że mam tu rodzinę - rzekła Jane powoli, a jej zielone oczy, podobne do oczu brata, wypełnił smutek

Ale Bobby nie miał nastroju do pocieszania jej.

- Powiedziałaś też, że nazywasz się Hefner.

- Tak. Sakir to mój brat przyrodni, a o jego istnieniu dowiedziałam się dopiero przed paroma miesiącami.

- Przykro mi - rzekł.

Sakir powiedział spokojnie, ale w tonie jego brzmiała groźba:

- Ponownie ostrzegam cię, Callahan, zachowaj ostrożność.

- Bo co? - zapytał Bobby zadziornie. - Chcesz odebrać mi te marne dwadzieścia pięć akrów ziemi? Nic z tych rzeczy. Spłaciłem cię co do centa, nie licząc odsetek.

Sakir skinął głową twierdząco.

- To prawda. - Objął żonę ramieniem opiekuńczym gestem. - Rozumiesz chyba, że podobnie jak tobie, również mnie zależy na dobrym samopoczuciu mojej rodziny.

Bobby spojrział na Jane, piękną, atrakcyjną kobietę, która zawładnęła jego duszą, umysłem i ciałem, i po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że żyje, że inaczej widzi świat. Czyż to możliwe, że to wszystko to była tylko gra z jej strony? Czy ona wie, co zaszło między ich rodzinami?

Przepełniło go dojmujące uczucie goryczy. Musi raz na zawsze wbić sobie w pamięć, że ta kobieta należy do klanu, który za nic ma krzywdę innych, liczy się tylko ich własna korzyść.

- Jane należy do mojej rodziny - ciągnął Sakir złowieszczo, tym samym tonem, jakim swego czasu oświadczał Bobby'emu, że nigdy nie odprzeda Callahanom ich ziemi. - I proszę cię, byś o tym nie zapominał - zakończył.

- Nie zapomnę, możesz być pewny - rzekł ze spokojem Bobby, odwrócił się i odszedł.

Gdy chwilę później Jane usiadła przy stoliku obok Rity, doznała uczucia, jakby porwał ją emocjonalny wir. Bobby odchodził w jedną stronę, a gdy ona próbowała zadać kilka pytań Sakirowi, on też odchodził, tyle że w innym kierunku. A ona, Jane, zostawała sama ze swoimi problemami. Mężczyzna, którego rozpaczliwie chciała poznać i zrozumieć - to jedno, i jej nowo odnaleziony brat - to drugie.

Gorąco płynące z barbecue przeszkadzało jej, czuła się zmęczona. Co ona, na litość boską, ma robić? Starać się

w tym wszystkim odnaleźć? Czy też dać sobie spokój i skupić się na tym, co bezpośrednio jej dotyczy?

Ogarnęła ją tęsknota za kimś bliskim, za rodziną. Wiedziała, że to dziecinada z jej strony, ale ona naprawdę tęskniła za matką, tęskniła za wspomnieniem jej objęć, gdy ona, Jane, bała się świata.

- Przykro mi, Jane - rzekła Rita zbliżając się do niej z wymuszonym uśmiechem.

- Dlaczego ci przykro? - zapytała Jane.

- Bobby'ego znam tylko ze słyszenia. Różne rzeczy o nim mówią. Zdaniem okolicznych kobiet to wcale nie jest taki czarujący kowboj, na jakiego wygląda.

Różne rzeczy, myślała Jane. Nie pasowały te słowa do mężczyzny, z którym przeszło tydzień temu kochała się i z którym dziś bawiła się cały wieczór.

- Czy ty wiesz - zaczęła - co się naprawdę stało z ziemią jego ojca?

- Sakir tylko raz o tym wspomniał. Prawdopodobnie ojciec Bobby'ego sprzedał ziemię przedsiębiorstwu wydobywającemu ropę. Ta firma oszukiwała ludzi i z tego powodu wiele osób w tych stronach popadło w ruinę. Potem wszystko przejął bank i zakazał obrotu ziemią. A Sakir kupił właśnie teren pod wypas bydła. Tak się złożyło. Nic w tym nie było zdrożnego moim zdaniem.

Jane, słuchając opowieści swojej bratowej, doznawała sprzecznych uczuć. Bobby stracił, Sakir zyskał. Coś tu nie grało, nie wiedziała jednak co.

- Bobby oskarża Sakira, że wpędził jego ojca do grobu? Z powodu tej ropy, tak?

Twarz Rity wyrażała ból.

- Ojciec Bobby'ego umarł parę miesięcy po sprzedaży ziemi - powiedziała.

- O, Boże! - jęknęła Jane. - Stracić ziemię ropodajną, pochować ojca. Siła złego! Czyż po tym wszystkim nie ma prawa mieć światu za złe? Nie czuć gniewu?

- Sakir odprzedał Bobby'emu kilka akrów, łącznie z jego starym rodzinnym domem.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Rita potrząsnęła głową, bawiąc się srebrnym widelcem. Żar od barbecue stawał się nie do zniesienia.

- Dlaczego Sakir sam mi o tym nie powiedział?

- Sakir jest przeczulony na punkcie własnego honoru i chyba...

Rita zamilkła.

A Jane westchnęła ciężko. Sakir był zupełnie jak jego najstarszy brat Zayad, sułtan Emandii. Obaj to bardzo ambitni, dobrzy, uczciwi ludzie, myślała Jane. Nie wyobrażała sobie, by Sakira stać było na jakiś podstęp.

- A propos - zaczęła Rita tonem przyjacielskim. - Jak poznałaś Bobby'ego Callahana? Dopiero dziś wieczorem? Sprawialiście wrażenie... zaprzyjaźnionych.

Ton bratowej zapadł jej w serce. Szybko się do siebie zbliżyły, bo miały ze sobą wiele wspólnego, podobna wrażliwość, podobne marzenia.

- Poznaliśmy się u Turnboltów.

-I?

-I co?

Dyskretny uśmiech pojawił się na ustach Rity.

- Jesteś w tym dobra - powiedziała Jane ze śmiechem.

- Mam siostrę - szepnęła Rita. - Avie nigdy nie udało się zataić czegoś przede mną.

Jane starała się odnaleźć w tłumie Bobby'ego Callahana, ale nigdzie go nie dostrzegła. Możliwe, że już sobie poszedł. Napotkała wzrok Rity.

- Jak oceniasz naszą przyjaźń? - zapytała Jane.

- Jesteśmy jak siostry - odparła Rita z uśmiechem.

Jane pochyliła się i szepnęła:

- Na przyjęciu u Turnboltów byliśmy już razem.

- Jak to „razem”? - spytała Rita.

Jane uniosła brew, dając do zrozumienia, co ma na myśli.

- Ooo! - mruknęła Rita ze zdziwieniem.

- To była jedna noc, cudowna, wspaniała - jęknęła niemal Jane ujmując głowę obiema dłońmi

- Rozumiem - rzekła Rita.

- Sakir nie może się o tym dowiedzieć - oznajmiła Jane z ponurą miną.

- Wcale nie musi - zapewniła ją Rita. - To twoja prywatna sprawa.

Jane westchnęła, wpatrując się w blat stolika.

- Żaden trwały związek...

- Nie wchodzi w grę - uzupełniła Rita.

Jane opuściła głowę, czując ogarniający ją bezbrzeżny smutek.

Niech diabli go porwą za takie myśli!

Był absolutnie zdecydowany.

W końcu zemści się na Sakirze Al-Nayhalu. W końcu będzie mógł przywrócić cześć pamięci ojca.

Josiah Callahan na łożu śmierci prosił syna tylko o dwie rzeczy: by zaopiekował się swoją siostrą i zemścił się na człowieku, który okradł ich ze wszystkiego. Nie było rzeczy, której Bobby nie zrobiłby dla swego ojca, choć nosił w sercu urazę, że zostawił jego i Kimmy na pastwę losu.

Chwycił wodze i zatrzymał konia tuż przed granicą posiadłości, w której spędził tyle lat. Granica już nie istniała - Sakir Al-Nayhal ukradł jego ziemię. Przez pierwsze trzy lata po śmierci ojca Bobby zwykł siadać na tej wymaginowanej granicy, a serce pękało mu z bólu. Obmyślał różne sposoby dokonania zemsty na sprawcy ich krzywdy. Jak zmusza go do zwrotu majątku, jak zadaje mu cierpienia.

Wiadomość, że ta kobieta to Jane Hefner, poruszyła go, obudziła w nim tęsknotę... Nie był wprawdzie pewien, czy gdyby ona wiedziała, kim on jest, odkryłaby przed nim karty, ale...

Mało go to zresztą obchodziło.

Jane Hefner Al-Nayhal będzie odpowiedzią na jego zadawane od ośmiu lat pytanie. Podobał się jej, wiedział o tym, i zamierzał sprawić, by się w nim zakochała, do szaleństwa, rozpaczliwie, po czym sponiewiera ją i odepchnie w ramiona brata. Wówczas ten jej brat przekona się, jak to jest patrzeć na klęskę kogoś bliskiego.

Sakir Al-Nayhal doprowadził do upadku rodzinę Bobby'ego. Teraz Bobby doprowadzi do upadku rodzinę Al-Nayhala.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Poprzedniego wieczoru Jane nie wypijała nawet kropli alkoholu. Nie tańczyła do świtu na bosaka z uroczym mężczyzną, trzymając jedną ręką but, a drugą - jego ramię. Mimo to nigdy dotąd nie miała tak potężnego kaca.

Czy można się upić rozpaczą, rozczarowaniem?

Obróciła się na plecy i spojrzała prosto w poranne słońce, które wdarło się do jej sypialni. Jak reflektor, pomyślała ze smętną zadumą. Przyjechała do Teksasu w nadziei odnalezienia przyszłości i przed dziesięcioma dniami owa przyszłość zmaterializowała się w postaci wielkiej ciężarówki, z której wysiadł potężny kowboj. I prawda wyglądała tak, że fascynacja Jane jego osobą nie mijała. Wciąż się jej podobał - bardzo - wbrew waśniom, jakie istniały między nim a jej bratem. A skoro chce, by jej marzenia się spełniły, bez względu na to, co ubiegłego wieczoru słyszała i widziała, czy godzi się tym samym, by Bobby i jej brat ją potępili?

Zamknęła oczy, westchnęła. Na tym etapie nie miała wątpliwości, czyje potępienie sprawiłoby jej większy ból.

Pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i zawołała:

- Proszę!

Do pokoju weszła gospodyni Sakira i Rity, kobieta po pięćdziesiątce, o surowym wyrazie twarzy, stanowczo zbyt dobrze umalowana i uczesana - jak na godzinę ósmą rano. Skłaniając głowę, powiedziała:

- Dzień dobry, panno Al-Nayhal.

Jane, sięgając po szlafrok, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Mario. Mów mi Jane, proszę.

- Jego wysokość by tego nie pochwałał.

Jane związała ściślej pasek szlafroka.

- Nie musimy go o tym informować.

Kobieta, ignorując komentarz Jane, rzekła:

- Telefon do pani.

Jane spojrzała przez ramię na szafkę nocną, gdzie zazwyczaj stał aparat. Ale teraz go tam nie było. Już przedtem zwróciła na to uwagę i zdziwiło ją, że w tak wspaniałym domu pokoje gościnne nie są wyposażone w telefony.

Maria, jakby czytając jej w myślach, powiedziała:

- Pani Al-Nayhal nie miała czasu tym się zająć.

- Zrozumiałe - rzekła Jane, zakłopotana nieco. - Małe dziecko, no i w ogóle...

Maria ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, podając Jane słuchawkę.

- Dzięki - rzuciła Jane.

Kobieta skinęła głową i wyszła z pokoju.

Jane, ciekawa, kto po tym wszystkim może do niej dzwonić, przyłożyła słuchawkę do ucha i odezwała się:

- Halo?

- Przyjęcie było szalone, prawda? - powiedział mężczyzna.

Ucieszyła się, serce jej zaczęło mocniej bić. Ciepłe brzmie-

nie jego głosu przypomniało jej tę wspólnie spędzoną noc. Uśmiechnęła się. Zdziwiła ją własna reakcja, a zarazem zmartwiła, że tak bardzo chciała go usłyszeć.

- Szałowe? - zapytała z nutą sarkazmu. - Chyba tak. Skoro tak uważasz...

Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było nuty wesołości.

- No bo... posunęliśmy się trochę za daleko.

- Masz na myśli siebie i Sakira?

Dopiero po chwili rzekł z westchnieniem:

- Sytuacja jest już opanowana.

- Czyżby? - szepnęła. Sposób, w jaki Bobby patrzył na Sakira, świadczyłby o czymś wręcz przeciwnym.

- Tak, na pewno. Obaj musimy uporać się z przeszłością. - Słyszała prawie, jak wzrusza ramionami. - Przynajmniej ja.

Nie tyle zdziwiła ją jego wspaniałomyślność, ile ten nagły zwrot.

- Skąd ta nagła zmiana?

- Bo wszystko może dać asumpt do czegoś naprawdę ważnego.

- Do czego na przykład?

- To właśnie ja cię o to pytam.

Jane uśmiechnęła się radośnie i mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. Chętnie mu odpowie, pomyślała i rzekła:

- Czy to okropnie zabrzmiało, jeśli ci powiem, że strasznie się cieszę z twojego telefonu?

Roześmiał się, tym razem szczerze.

- Nie, kochanie. Zabrzmiałoby to bardzo dobrze.

- Dobrze - to uczciwie, uczciwie - to dobrze - powiedziała.

Te słowa były dla niej mantrą od najwcześniejszego dzie-

ciństwa. Matka zawsze powtarzała jej, jak bardzo liczy się w życiu uczciwość. Za wszelką cenę. Co nie przeszkadzało jej mieć sporo tajemnic przed ojcem Jane.

- Godzina ci wystarczy?

Pytanie Bobby'ego wróciło ją do rzeczywistości, choć nie pojęła, o co mu chodzi.

- Słucham?

- Za godzinę przyjadę po ciebie.

Spojrzała najpierw na zegarek, potem na swój szlafrok.

- Jest dopiero ósma.

- No dobrze - powiedział z nutą ironii. - Za dwie godziny.

- Co za rozkazujący ton - zadrwiła z uśmiechem. - A będziesz uprzejmy powiedzieć mi, w co mam się ubrać?

Ściszył głos do szeptu:

- Z wielką chęcią, ale skutek byłby taki, że zaraz po wyjściu zostałabyś aresztowana.

Roześmiała się.

- A więc umiarkowana elegancja.

- O właśnie - mruknął ze smętkiem w głosie.

- Czy naprawdę, Bobby, dojdzie do tego... po tym, co stało się w ubiegłym tygodniu?

- Jasne. I wszystko będzie, jak należy.

- Jak należy?

- Trzymanie się za ręce, może parę pocałunków... Tym razem nie będziemy się spieszyć.

Dotknęła ustami słuchawki. Wróciło wspomnienie tamtych chwil.

- Cały ceremoniał... - zaczęła.

- Tak, ale nie poproszę twego brata o pozwolenie.
- Oczywiście że nie.

Spłoszyło ją trochę to jego poczucie humoru, ale tylko na chwilę.

- No więc za godzinę? - zapytał.
- Mówiłeś, że za dwie.
- Nie chcę tyle czekać. A ty?
- Też nie.

Emocje walczyły w niej z obawą, ostrożność z ślepą wiarą, że on nie potrafi kłamać.

- Na razie, kochanie - rzekł.
- Na razie.

Odwiesiła słuchawkę, zrzuciła szlafrok i pobiegła do łazienki. Pomyślała też, że jej brat zrobiłby piekło, gdyby się dowiedział, co ona robi.

Za chwilę jednak stanęła pod gorącym prysznicem, jej myśli powędrowały w przyjemne rejony - co też ją czeka na pierwszej randce z Bobbym Callahanem.

Czterdzieści minut później w bibliotece Sakira, siedząc w obitym skórą mahoniowym fotelu, Jane otrzymała odpowiedź na swoje pierwsze pytanie. Nieprzyjemna sprawa.

- On cię wykorzystuje, Jane.

Jej brat, ubrany w biały kaftan, miał minę nieprzeniknioną, ale i świadcząca o niechęci do kompromisu.

Jane, w jasnozielonym swetrze i białych dżinsach, była zdecydowana trwać przy swoim.

- Nie sadzę, Sakirze, ale gdyby to nawet była prawda, to jest mój wybór.

- Rita mówiła mi, że rozmawiała z tobą na temat Bobby'ego i o mnie.

- Tak, faktycznie.

- Facet robi wszystko, by się na mnie zemścić, nie oszczędzając, rzecz jasna, mojej rodziny. - Oparł się wygodnie, uniósł brwi. - To obrzydliwe.

- A ma do tego podstawy? - Zapytała o to bezmyślnie i zaraz dodała: - Mówiłam ci, że poznałam wspaniałego człowieka, godnego szacunku, troskliwego. Ale my nie umiemy doceniać tych rzeczy. Czy chodzi o jakąś sprawę z Callahanem?

Sakir zacisnął usta i po chwili zapytał:

- Gzy zadajesz to pytanie swemu bratu?

- Proszę go, by powiedział mi prawdę, to wszystko. - Westchnęła, usiadła naprzeciwko niego, położyła rękę na jego dłoni. - Jestem dużą dziewczynką, Sakirze. Zniosę każdą prawdę.

Oczy mu złagodniały, znikł ów oficjalny wyraz.

- Zawsze wyciągasz ode mnie to, co chcesz - powiedział.

- Nic się przed tobą nie ukryje.

- Dzięki za uznanie - rzekła z uśmiechem.

Skinął głową, odetchnął głęboko.

- Nic złego się nie kryło za uzdatnianiem ziemi Bobby'ego Callahana. Po odejściu ekipy wiertniczej gleba była w kiepskim stanie. Dziurawili ją i szarpali, gdzie tylko mogli. To była klęska środowiska naturalnego. Istny koszmar. Starszego Callahana nic to nie obchodziło, nie zależało mu na poprawie sytuacji - bank przejął majątek. Gdybym ja go nie nabył, zrobiłby to kto inny. A byłem poza tym przekonany, że ów nabywca nie byłby zbyt wspaniałomyślny.

- Mówisz o tym, że pozwoliłeś Bobby'emu odkupić tych parę akrów?

- Tak. Przykro mi z powodu śmierci jego ojca, ale jego złość wobec mojej osoby była nie na miejscu. Jego dziwny sposób bycia i ciągłe wpadanie w gniew sprawiały, że stał się niebezpieczny.

- To śmieszne! - wykrzyknęła Jane, ale w gruncie rzeczy zastanawiało ją to. Coś ją ścisnęło w dołku z irytacji i zmartwienia.

- Widziałś go wczoraj wieczór. Zachowywał się jak wariat.

- Był wściekły. Chowa do ciebie urazę. Ale żeby zaraz wariat? W żadnym razie.

- Nie pozwolę, Jane, żebyś się narażała.

Roześmiała się, wrywając dłoń z jego ręki.

- Nie pozwalasz? Mnie?

Od dziesięciu chyba lat nie słyszała, by ktoś tak się do niej zwracał, ale nawet wtedy nie przyjmowała takich słów do wiadomości. A że teraz wypowiedział je ten właśnie człowiek, krew się w niej zagotowała. Nie miała ojca, żadnego w rodzinie mężczyzny, który byłby dla niej autorytetem, i nie odczuwała braku takowego.

Odchyliwszy się na oparcie krzesła, Sakir przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

- Musisz zrozumieć - powiedział. - Jesteś z rodu Al-Nay—  
hal. Moją siostrą i... - przerwał, rozejrzał się jakby nieco speszony, ale ciągnął dalej: - Chcę się tobą opiekować, bo zależy mi na tobie.

Uśmiechnęła się kącikiem ust. Oczywiście, jej jest łatwiej okazywać uczucie niż Sakirowi.

- Ja też cię kocham, wielki bracie.
- Nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził. Możesz to zrozumieć?
- Oczywiście.
- To stosuj się do moich decyzji.
- Nie - zaprotestowała.

Nie zamierzała wygłupiać się i odgrywać roli „małej siostrzyczki”, bez względu na to, co sądzi Sakir o zaproszeniu jej przez Bobby'ego.

- Jesteś uparta jak moja żona - mruknął.

Roześmiała się.

- Dzięki, przyjmuję to jako komplement. Rita jest wspa-  
niała.

- Zgadzam się.

- Posłuchaj mnie. Dokonałam pewnego wyboru na dzie-  
sięć lat i zrobię na tym dobry interes. - Okrążyła jego biurko  
i pocałowała go w policzek. - Zaufaj mi.

Spotkali się wzrokiem.

- To Bobby jest kimś, komu nie ufam.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Jane, zanim wyszła z poko-  
ju, obdarowała Sakira pełnym zaufania uśmiechem.

Gdyby to w ogóle było możliwe, Jane wyglądałaby jeszcze  
piękniej w tych opiętych białych dżinsach, niż w sukni, jaką  
miała na sobie tego wieczoru, gdy się poznali. Oczywiście  
kwestia gustu z jego strony, myślał Bobby, włączając trzeci  
bieg w swojej ciężarówce. Doceniał ładny strój na kobiecie,  
ale nie istnieje przecież piękniejszy strój niż dżinsy.

Uciekając wzrokiem od jej ud i patrząc na drogę przed  
sobą, zapytał:



- Jadłaś śniadanie?  
- A dałeś mi na to czas? - zapytała z brzmącym w głosie uśmiechem.

- Przykro mi.

- Wcale ci nie jest przykro.

Obrócił się ku niej z przekornym uśmiechem.

- To prawda, nie jest mi przykro. Chciałem cię po prostu zobaczyć.

Zaczerwieniła się po korzonki włosów, upodabniając się tym do światła poranka. Bobby stwierdził w duchu, że równie podniecającego widoku nigdy nie oglądał, i zastanawiał się, czy potrafi odpędzić to uczucie i pozostać wobec tej kobiety absolutnie obojętny.

- A więc - zaczęła rozpraszając jego myśli. - Dokąd my jedziemy?

- Do wspaniałego miejsca w Teksasie, gdzie kucharz robi świetne regionalne danie.

- Brzmi ciekawie.

Lecz gdy zbliżali się do wjazdu z napisem „Posiadłość prywatna” i wjechali w szereg bram oznaczonych literą R - pomieszczenia rehabilitacyjne - Jane obróciła się ku niemu z uniesionymi z ciekawości brwiami i zapytała:

- Co polecasz na dziś, szefie?

Chrząknął.

- Jajka na bekonie, grzanki, jeśli nie przypalę.

Powędrowała spojrzeniem za okno. Pastwisko, konie szczypiące trawę, mile nieba nad głową. Nieważne, jaki obszar jego majątek teraz zajmuje, myślał Bobby z niejaką melancholią, jest to wciąż jego dom i zawsze dobrze się tu czuje.

Obróciła się ku niemu, mówiąc:

- Śniadanie u ciebie. To brzmi bardzo intymnie. - Wykrzywiła usta. - A ja liczyłam na wolniejszy tryb.

Bobby, z szerokim uśmiechem na ustach, zatrzymał ciężarówkę przed swoim domem na ranczu. Ostatnia rzecz, o jakiej marzył, to ów „wolniejszy tryb”. Od czasu, gdy się kochali, pragnął wciąż jej dotykać, przyjmować różne pozycje. Lecz trzeba było na to czasu, trzeba było otoczyć ją nimbem romantyzmu... Do diabła, on sam na trochę romantyzmu miałby ochotę. Wskoczył z wozu i okrzykując go, podał Jane rękę i pomógł jej wysiąść.

- Chyba lepiej będzie się przyznać: nie przywiozłem cię tutaj na śniadanie.

- Nie żartuj - rzekła zaskoczona.

- Uprzedzałem cię, że jestem zwykły kowboj - powiedział Bobby, gdy szli wzdłuż domu i dalej, chodnikiem.

- Jakżebyś śmiała o to cię posadzać.

Roześmiał się, wciskając na czoło kapelusz.

- Przekonasz się o tym sama.

- Ale chyba nie dzisiaj?

- Dzisiaj. Przywiozłem cię tutaj, żebyś przekonała się, kim byłem. Nie sądzę, byś po ostatniej nocy miała jasny obraz mojej osoby.

Zrobiło się raptem zimno i Jane rzekła cichym głosem:

- Możliwe.

Zachowywała wobec niego rezerwę, i słusznie. Jasne jak słońce, że była skonfundowana, nie wiedziała, co on myśli i co będzie dalej.

Niech to wszyscy diabli!

Ilekcroć Bobby spojrział na jej ciemne, zielone oczy, nękał go ten sam problem. Jeśli chce raz na zawsze skończyć z Al-Nayhalami i pozbyć się ducha ojca, musi zachować chłód i trzymać się wytyczonych zasad.

- To. - Bobby wskazał ramieniem okolicę. - To jestem ja. Mój kraj. Mój teraz i zawsze. To moja pasja, moje życie, moja miłość, Jane.

Obserwował pilnie, jak wpatruje się w krajobraz, w zagrodę, po czym sam podążył za nią, za jej wzrokiem. Trójka dzieci czekała na swoją kolej, kiedy Elli dosiadała konia. Chłopiec pomagał szesnastolatce dosiąść konia z podjazdu, z wózka inwalidzkiego, dziewczyna śmiała się, klepała konia po szyi. Inne dzieci biegały dokoła, podczas gdy jeden z trenerów przywiązywał Elli pasem do siodła.

Jane odwróciła głowę i obdarzyła Bobby'ego promiennym uśmiechem.

- Cieszę się, że mogłam to zobaczyć - powiedziała.

Zdziwił się, ale również się uśmiechnął. Nie sądził, że jej się to spodoba. Może zachwyciła się miejscem albo ogromem pracy, jakiej dokonał - mówią to zazwyczaj odwiedzające ranczo kobiety. Lecz jak mógł się już przekonać owej pierwszej nocy, Jane Hefner Al-Nayhal nie zaliczała się do kobiet, które to zazwyczaj mówią.

- A co przewidujesz po śniadaniu? - zapytał, biorąc ją za rękę. - Kiedy już dzieciaki skończą lekcję?

- To, co ty - odparła.

Skinąwszy głową Ablowi, Bobby poprowadził Jane ścieżką wiodącą przez podwórze. Gdy weszli do domu, Deacon,

pies Abła, spał na derce w rogu kuchni. Gdy weszli, otworzył od niechcenia jedno oko.

Bobby wskazał Jane miejsce przy stole stojącym przy oknie.

- Rozgość się - powiedział. - A ja się wszystkim zajmę.

- Chyba tylko ty zajmujesz się babskimi robotami w kuchni - rzekła Jane z lekką kpina w uśmiechu, zajmując miejsce przy stole.

- Nie to miałem na myśli i ty dobrze o tym wiesz.

Łokcie na stole, głowa wsparta na dłoniach, to stanowczo zbyt wygodna pozycja w kuchni.

- Powiedziałaś coś w tym sensie, że lubisz, kiedy kobieta umie gotować.

- Fakt. - Obrócił się, wbił parę jajek do miski i chwycił za widelec. - Tak jak ty lubisz, kiedy potrafi to czynić mężczyzna.

- Obyś tylko nie spalił grzanek.

Rzucił jej groźne spojrzenie, które ona skwitowała śmiechem.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy? - zapytała.

- Skarbie, ja z zamkniętymi oczami usmażę ci jajka na bekonie.

Gwizdnęła z podziwem.

- Chciałabym to zobaczyć - rzekła, zsuwając się z fotela na podłogę i kucając obok psa.

Deacon ziewnął, otworzył oczy i położył się na grzbiecie, w oczekiwaniu na pieszczoty pięknej pani, która usiadła na jego derce. Pocałowała zakurzoną mordkę Deacona, podrapała go za uszami. Przez chwilę Bobby prawie zapomniał, po co ją tu przyprowadził.

Prawie.

Po dziesięciu minutach siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, przed nimi talerze z jajecznicą na bekonie. Jane jadła z apetytem, co nie przeszkodziło jej wyglądać przez okno na podwórze.

- To chyba przyjemnie znać swoją przyszłość, prawda?

Ręka Bobby'ego z kanapką zatrzymała się na wysokości ust.

- Co masz na myśli?

Gestem dłoni zatoczyła krag.

- Masz swój ką, jasny cel w życiu. Wiesz, kim jesteś, czego chcesz i kim będziesz za lat dziesięć.

Bobby ugryzł przypaloną grzanekę. Nigdy nie myślał o swojej pozycji w życiu, o przyszłości. Może dlatego, że miał uraz w tej kwestii. Napotkał teraz wzrok Jane, uniósł brwi i zapytał:

- A ty nie wiesz, czego chcesz?

- Myślałam, że wiem.

- Jesteś członkinią królewskiej rodziny, możesz przecież robić, co zechcesz.

- Jeśli chodzi o pieniądze, to nie ma sprawy, ale nie w pieniądzech tkwi szczęście i nie na tym polega spełnienie marzeń, prawda?

Szczęście. O, Boże, on nie wiedział, co to słowo znaczy, odkąd przestał być dzieckiem otoczonym szczęśliwą rodziną. Prawdopodobnie nie czuł go teraz. A jeśli miał jakieś przeżycie szczęścia, to je odrzucał. Nie zasłużył na to uczucie, jeszcze nie teraz.

- Sę w tym - ciągnęła Jane - że z powodu pieniędzy

człowiek nie czuje się szczęśliwy. Szczęście tkwi w tobie, w twoim umyśle, w twoim mózgu. - Westchnęła. - Myślałam, że jak otworzę restaurację, to osiągnę szczyt moich marzeń, a teraz nie jestem wcale tego pewna. A byłam tego pewna dawniej, w Kalifornii. Własna restauracja, własna rodzina, którą założę pewnego dnia. Wtedy coś pchało mnie do przodu. I nagle przychodzi facet i mówi, że jest moim bratem... Kiedy moja matka przed laty zajmowała się polityką, miała jakiś krótkotrwały romans, i ten człowiek został moim ojcem. No tak... okazało się, że jest sułtanem Emandii.

- No i co z tego? - zapytał Bobby, widząc, jak Jane wykrzywia usta. Dotknęło go to bardziej, niż sądził.

- Nic z tego - odrzekła wzruszając ramionami. - Jestem kimś, kogo wtłoczono w czyjeś życie, które dla większości ludzi byłoby czymś wspaniałym, bajecznym. Emandia jest piękna, ludzie są tam cudowni, i marzyłabym, żeby być jedną z jej stałych mieszkanek. Ale czuję się tam źle, mam poczucie winy, bo zbyt wiele zawdzięczam moim braciom. I to sprawia, że czuję się niezręcznie. Nigdy nie wynosiłam się ponad tłum. Sława nie robi na mnie wrażenia. Jestem skromną osobą. Lubię być w kuluarach, nie na scenie.

- W kuchni - dopowiedział, podążając jakby tropem jej myśli. Uśmiechnęła się, traktując to jako żart.

- Nie zrozum mnie źle, bo ja cieszę się, że znam prawdę, skąd się wywodzę, i że los obdarował mnie braćmi, ale moje życie już do mnie nie należy.

- Czyżby zdecydowali o tym twoi bracia? - zapytał, uśmiechając się z przekąsem, ironicznie.

Wytrzymała jego spojrzenie, utkwivszy w nim swoje migdałowe oczy.

- Nie, Bobby. Nikt mnie nie zmusi do czegoś, czego nie chcę. Ale fakt, że noszę nazwisko Al-Nayhal, do czegoś mnie zobowiązuje. Dlatego pojechałam do Emandii, aby dowiedzieć się czegoś o życiu tych ludzi, ich kulturze, o moim ojcu i jego rodzinie. To było piękne przeżycie. Lecz ja czułam się jak turystka. Czułam, że chcę wrócić tam, skąd przyjechałam: do domu.

Bobby wpatrywał się w nią. Od śmierci jego rodziców nie odbywała się przy tym kuchennym stole taka rozmowa. Na ogół rozmawiali z Ablem podczas posiłków o sprawach codziennych - o ranczu, co muszą zrobić następnego dnia. Czasami o polityce, o lokalnych politykach, na których trzeba mieć oko, i to było wszystko. Temat uczuć, nadziei, marzeń - nie istniał.

- Może pragniesz tego, co jest potrzebne każdej kobiecie - powiedział Bobby, odchylając się na oparcie krzesła.

Rzuciła mu takie namiętne spojrzenie, że aż cały się spiął.

- Co mianowicie? - zapytała.
- Poczucia bezpieczeństwa.
- Finansowego czy miłosnego?
- Bezpieczeństwa w życiu.

Uśmiechnęła się ciepło, serdecznie, i ten jej uśmiech poraził go jak cios nożem.

- Jak doszedłeś do tego, że masz taki rozsądny stosunek do życia?

- Dzięki mojej siostrze - odparł bez namysłu. - Mimo jej

niepełnosprawności była mądra ponad wiek. Zawsze wiedziała, co jest ważne w danej chwili.

Kimmy starała się również nauczyć Bobby'ego, co jest w życiu najważniejsze. Ale ożywienie martwego serca jest niestety rzeczą niemożliwą.

Toteż jej się nie udało.

Bobby spojrział w zielone oczy kobiety, która do granic możliwości przyspieszała bicie jego serca.

Jane Hefner Al-Nayhal pochwaliła Bobby'ego, że obrał w swoim życiu kierunek działania, że dokonał wyboru na przyszłość. Nie wiedziała jednak, że ów kierunek, w jakim zmierzał, i wybór, jakiego dokonał, nie rokują dobrze.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sara, Eli, Daniel i May.

Najcudowniejsze dzieci, jakie Jane spotkała w życiu. Rozmawiała z nimi, słuchała, jak bardzo się cieszą, że mogą odwiedzać to ranczo, i podziwiała mężczyznę, który im to umożliwił.

Bobby Callahan żegnał się właśnie z May i jej rodzicami. Dziewczynka przed rokiem straciła wzrok, załamała się kompletnie, i dzięki koniom i pracy przy nich wydobyła się z otchłani rozpacz, kiedy już rodzice nie mieli żadnej nadziei, że ich córka wróci do siebie i odzyska chęć życia.

- Gotowa? - zapytał Bobby.

Jane objęła wzrokiem gęstwą zieleni, drzewa, konie i mały domek, który jej, bywającej w pałacu Emandii i pałacach Sakira wydał się nad wyraz przytulny, taki, w którym chce się mieszkać.

- Nie. Bo mam swoje plany na dzisiejsze popołudnie.

- Randka? - zapytał Bobby niby to zdawkowo, ale brudzy wokół ust świadczyły, że z trudem hamuje gniew.

Jane poczuła satysfakcję i pomyślała, że może ją nareszcie pocałuje. Wyciągnęła rękę - dobra zapowiedź, tym bardziej że zaliczał się raczej do ludzi powolnych.

- Tak - odparła z powagą. - Mam randkę. Z moją szwagierką, która prosiła mnie o pomoc w zakupach.

Wyraz twarzy Bobby'ego zmienił się radykalnie. Znikła sztywność, rysy rozjaśnił uśmiech, co spowodowało, że kolana się pod nią ugięły. Ze wzruszenia. Wziął ją za rękę.

- Chodźmy - powiedział.

Jane pomachała Ablowi i dzieciom ręką na pożegnanie i ruszyła w stronę ciężarówki Bobby'ego. W drodze powrotnej do domu Sakira i Rity Jane rozmyślała o swoim pobycie na ranczu, jak świetnie się tam czuła, otoczona dziećmi, życzliwością, wdychając aromatyczne świeże powietrze. I znów pomyślała, jak szczęśliwie się stało, że Bobby tak mądrze i dobrze dysponuje swoim życiem.

- Dzieci polubiły cię.

Zachrypnięty głos Bobby'ego wyrwał ją z zadumy - spojrzała na niego z uśmiechem.

-I ja je polubiłam... Może następnym razem pomogę wam w zagrodzie albo zajmę się szykowaniem posiłków, czy coś w tym sensie.

- Każda para rąk nam się przyda - powiedział z całą powagą.

- Możesz gorzko pożałować tych słów - powiedziała z ironią, wychylając się przez okno na podmuch ciepłego, wczesnojesiennego wiatru. - Bo jeśli tu zostanę i codziennie będziesz narażony na mój widok...

- Nie cierpiałbym z tego powodu - powiedział ciepłym tonem.

W jego niebieskich oczach dostrzegła pożądanie, i aż po-

czuła ucisk w gardle, zaparło jej dech w piersi. Odchrząknęła.

- Dziś był mój wielki dzień - rzekła.

- Nie czułaś się zawiedziona skromnym otoczeniem?

- Nie wygłupiaj się - burknęła. - Ja jestem prostą dziewczyną. Nie lubię wymyślnych rzeczy. Lubię czystość, wygodę i przytulność.

- Naprawdę? - zapytał ściszym głosem, przechyliwszy na bok głowę.

- Naprawdę - potwierdziła. - Z wyjątkiem...

Zmarszczył brwi

- Z wyjątkiem czego?

- Później ci powiem - rzekła, gdy skręcili na podjazd do domu Sakira i Rity.

Centrum handlowe znajdowało się piętnaście minut drogi od Paradise. Masywna bryła betonu liczyła sobie dwa oddziały, dziesięć specjalistycznych sklepów i niewielki dział z żywnością. Nie można tam było zakupić eleganckiej białej bielizny stołowej, porcelany, sztuców. Jane zaproponowała, że pojedą do Dallas i pożyczą tam, co trzeba, lecz Rita orzekła, że przyjęcie ma być niezobowiązujące, w stylu rustykalnym, a pożyczone rzeczy psułyby jej koncepcję.

Jane była naprawdę rada, że Rita nie chce staroświeckiego stylu i staroświeckiego nudziarstwa, ale piękna zastawa to ważna rzecz i czy nie lepiej byłoby zachować złoty środek?

Odłożyła rzeczy, które zamierzała nabyć, na półkę i podeszła do Rity, która z Dayą na ręku siedziała na ławce. Przytulone były do siebie twarzami i Rita szeptała na ucho czu-

łe słowa swej dwumiesięcznej córeczce. Jane poczuła coś na kształt wzruszenia - może zazdrość, ale i nadzieję na przyszłe szczęście.

- Dlaczego jej nie nakarmisz? - zapytała Jane, stając przed nimi.

Rita pocałowała Dayę.

- Poprzytulam ją najpierw.

- Czy dziecko to jest naprawdę najcudniejsza rzecz na świecie?

- Oczywiście - odparła Rita. - Ale dobrze jest przy tym mieć męża.

- No tak. Głowę daję, że Sakir zmienia jej pieluszki - rzekła z uśmiechem w głosie Jane.

- Owszem. I w nocy również.

- Coś takiego - powiedziała Jane prawie z przerażeniem. Nie wyobrażała sobie swego brata przewijającego dziecko po nocach.

- Mężczyźni są komiczni, prawda? - Rita wstała, przytuliła małą do piersi. - Póki ci w pełni nie zaufają, nie otwierają się przed tobą.

Gdy Jane pomagała bratowej przy ładowaniu do wózka toreb z pieluszkami, pledów, zastanawiała się, czy Bobby otworzył się przed nią. Przypuszczała, że tak. W końcu nie znali się tak długo. Ciekawe, jaki on jest, pomyślała. Czy potrafi być zły, niemiły, tak jak udało jej się to czasem zauważyć?

- Może się przejdziemy? - zaproponowała Rita.

- Chętnie. Możemy iść do Youngów. Podobno mają ładną kolekcję porcelany. A po drodze pogadamy o menu.

Ponieważ dziecko gaworzyło, zainteresowane otoczeniem, i nie domagało się niczego od mamy, Rita powiedziała:

- Chciałabym, żeby było ciekawie i rozrywkowo. No i dobre jedzenie. Czy można wymagać czegoś więcej? - Roześmiała się. - Moja siostra Ava obiecała, że będą zeberka, a skoro obiecała, to będą.

- Nie znam twojej siostry - powiedziała Jane.

- Nic dziwnego. Ava, jej mąż Jared i ich córka Lily mieszkają na Florydzie. W korporacji Disneya. - Rita uniosła oczy w górę. - Nie mogę sobie wyobrazić Jareda pozującego do zdjęć na tle Mickey House. Jared to fajny facet, tylko ciągle spięty.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam - powiedziała Jane.

- Niedługo. Ten cały gang będzie na imprezie. I Muna, babcia Jareda. Jest fajna.

Wchodziły właśnie do działu Younga, gdy Rita, dostrzegłszy kogoś dość daleko od miejsca, gdzie były, wydała okrzyk zdziwienia.

- Śledzą nas - powiedziała z uśmiechem.

- Co takiego?

- W tej chwili śledzą ciebie. - Rita wskazała palcem w stronę działu damskiej bielizny i szlafroków. Jane spojrzała w tym kierunku i kolana się pod nią ugięły. Po raz pierwszy odebrało jej mowę, gdy ujrzała go na przyjęciu u Turnboltów - i raptem teraz zobaczyła go stojącego w drzwiach galerii. Szedł potem ku nim - wysoki aż za bardzo, ciemne włosy, ciemna karnacja, męski - przynosiłby góry, i zarazem subtelny, delikatny: Bobby Calla-

han we własnej osobie. Nosił te same wypłowiałe dzinsy, T-shirt, buty i kapelusz.

Uśmiechnął się na ich widok i rzekł:

- Szanowanie paniom.

Jane uśmiechnęła się promiennie.

- Witam cię, Callahan.

- Co u ciebie, Bobby? - zapytała Rita zdawkowo.

- W porządku. Dzięki - odparł.

- Kupujesz materiał na bieliznę? - zapytała Jane na widok zwojów jedwabiu i bawełny, pomiędzy których się wyłonił.

- Nie noszę bielizny.

Mrugnął do niej, a kiedy stanęła w pasach, roześmiał się. Spojrzył na Ritę, w jednej ręce trzymającą dziecko, w drugiej zakupy, i powiedział:

- Pomogę ci, szanowna pani Al-Nayhal.

- Dzięki - rzekła Rita odrobinę zmieszana, lecz z miłym uśmiechem na ustach. Podała mu torbę i dalej pchała wózek

- Co zamierzasz kupić? - zapytała Jane.

- Toster - odparł, a ona roześmiała się.

Czuł się jak głupek. Nie lubił kłamać, szczególnie gdy patrzył w te intensywnie zielone oczy Jane, ale zgodnie ze złożoną sobie przysięgą ma zrobić wszystko, by osiągnąć swój cel. Sakir nienawidził go, wiedział o tym aż za dobrze, i nie ulegało kwestii, iż jego żona nie byłaby zachwycona tym, iż on, Bobby, spotyka się z Jane. Ale on, Bobby, nie pozwoli na żadną formę ingerencji. Jeśli Rita zaaprobowaby go, Jane łatwiej mogłaby uwierzyć w jego szczerłość. Kobieta potrzebuje czasu, by się zakochać. Już sama myśl, że Rita Al-Nayhal jest po jego stronie, uważa go za człowieka porządnego,

czego nie kryje przed własnym mężem, rozjaśniła jego twarz zawadiackim uśmiechem.

- Tęskniłeś do mnie, prawda?

Pytanie to wyrwało go z zamyślenia. Spojrzał na nią, a ona dodała po chwili:

- Nie zaprzeczaj. W niczym to nie uchybia twojej męskości.

Zachichotał na takie dictum i rzekł:

- Jestem w magazynie dla pań, już samo to kompromituje mnie jako mężczyznę. - Po chwili mówił dalej, czując, że ona od czasu do czasu obrzuca go spojrzeniem: - Prawda jest taka, kochanie, że jak się rozstaliśmy, to uświadomiłem sobie, że nie zdecydowaliśmy, co będziemy robić dziś w nocy.

- Robić? - powtórzyła Jane, pocierając podbródek w zamyśleniu. - Nie przypominam sobie...

- Kochanie - przerwał jej Bobby z aroganckim uśmiechem. - Wiesz równie dobrze jak ja, że spędziliśmy już noc razem. - Obrócił się w stronę Rity i rzekł bezczelnie: - Proszę mi wybaczyć.

Zastanawiał się bowiem przez chwilę, czy ten jego sposób bycia nie obraził Rity, ale uznał, że nie. W końcu jest żoną Sakira Al-Nayhala.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać - rzekła w końcu Rita powściągliwie, choć serdeczny uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Ta stara mężatka z dzieckiem jest całkiem sympatyczna. Gdybyście czegoś potrzebowali...

Odwróciła się i ruszyła w stronę innej części magazynu.

Bobby był rad. Odnosił graniczące z pewnością wrażenie, że Rita podzieli się z mężem swoimi spostrzeżeniami. Spojrzał na Jane. Uśmiechnęła się do niego tak radośnie, że

chciałby już teraz ją całować. Niech to szlag trafi, myślał, dlaczego budzi w nim takie pożądanie? Dlaczego jest właśnie taka, jaka jest?

- Chcesz mnie o coś zapytać, kowboju?

- Co powiesz na kolację we dwoje, a potem przejażdżkę w świetle księżycy?

- Nie jestem za dobrą amazonką.

- Jesteś.

- Skąd ta pewność?

- Stąd - zaczął, podchodząc do niej i zniżając głos do szeptu. - Że ja cię nauczę jazdy konnej i wtedy będziesz najlepsza.

Jane zrobiło się gorąco, czuła, że się czerwieni. Tu, w tym magazynie, wśród tłumu ludzi przerzucających przecenione swetry i bluzki, wśród śmiechów i krzyków dzieci pchanych na wózkach, ona, Jane, myślała tylko o jednym - o ustach Bobby'ego na swoich.

- Chodźmy już - mruknął, patrząc na nią płonącymi oczami.

Odmowa graniczyła z torturą, ale Jane przemogła się.

- Nie mogę - oznajmiła z uśmiechem. - Mam jeszcze dużo pracy związanej z przyjęciem. Muszę dziś kupić porcelanę i obrusy. To przyjęcie bardzo wiele znaczy dla mojej rodziny, głównie ze względu na moją bratanicę. To ważny dla niej dzień.

Spojrzał na nią jakby z zadumą i rzekł:

- No trudno, muszę poczekać.

Te słowa kłębiły się w jej mózgu, a jego przewrotny uśmiech dołał tylko oliwy do ognia. Całe szczęście, że przy-



szła Rita, bo jeszcze chwila, a Jane zapomniałyby o bożym świecie i przypadłyby do niego, i zaczęłyby go całować, nie zważając na przechodzących ludzi.

Mała Daya, córka Rity, kręciła się i wierciła w jej ramionach.

- Nie da chwili spokoju - rzekła Rita. - Lepiej będzie, jak sobie z nią pójdę.

Jane spojrzała na Bobby'ego. Cudowna okazja. Dziecko płacze, mama z dzieckiem wychodzi, a oni, Jane i Bobby, mogą już...

Zamiast jednak skorzystać z okazji Bobby powiedział:

- Może ja spróbuję, Rito.

Jane wytrzeszczyła na niego oczy, podobnie Rita. Nikt na świecie nie zaprzeczy, że mężczyźni uciekają od bawienia dzieci, chyba że są ich ojcami.

- Chyba żartujesz, Bobby - rzekła Rita całkowicie o tym przekonana.

A on wyciągnął ręce w stronę małej.

- Nie bój się, Rito - rzekł, tuląc Dayę w swoich potężnych ramionach. - Umiem obchodzić się z dziećmi. Lubią mnie.

Przez chwilę Jane zdawało się, że mała się uśmiecha, ale Daya wykrzywiła tylko buzię. A gdy Bobby zaczął ją kołysać, wybuchła płaczem. A gdy zaczął coś do niej mruścić, płacz przemienił się w szloch. Przestał zatem i kołysać, i mruścić - wówczas dziewczynka tak żałośnie się rozkrzyczała, że obie, Rita i Jane, wyciągnęły do niej ramiona.

Bobby minę miał nietęgą, gdy podawał dziecko Ricie. I powtarzał bez przerwy: „Nie potrafię, nie potrafię”.

- W porządku, Bobby - powiedziała Rita, spoglądając to

na niego, to na córkę. - Jest nieufna wobec obcych - mówiła. - Zupełnie jak Sakir.

Jane zaś przeniosła spojrzenie na Bobby'ego, który wciąż był jakby speszony.

- Hej - powiedziała szturchając go w ramię. - Potrzebny nam jest silny mężczyzna do pomocy. Dasz radę?

- Jesteś silniejszy niż inni - oświadczyła Rita, w której ramionach Daya przestała płakać.

- Jesteś najsilniejszy ze wszystkich - poprawiła ją Jane i obie uśmiechnęły się do niego.

Bobby stęknął, wzruszył ramionami.

- Żadne komplementy nie przesłonią faktu - rzekł - że odrzuciła mnie paromiesięczna kobieta i muszę się z tym pogodzić.

Jane patrzyła z uśmiechem, jak Bobby przekłada paczki z koszyka do wózka. Biedny chłopak, myślała, gdy po wyjściu z magazynu szli na parking. Wiedziała, że to śmieszne, ale zastanawiała się, czy Sakir nie zaraził swej córki nienawiścią do Bobby'ego.

- Chcesz mnie zadreńczyć, kochanie?

- Owszem - odrzekła Rita, siedząc na kolanach męża i obejmując go za szyję.

Sakir odepchnął od biurka swój skórzany kapitański fotel i obrzucił spojrzeniem wielkie okna sięgające od podłogi do sufitu. Nie puszczając żony z uścisku, wyjrzał na swój ogromny dziedziniec.

- A więc - zaczął - Callahan towarzyszył ci przy zakupach, i pozwoliłaś mu nawet wziąć na rękę nasze dziecko, tak?

- Tak - przyznała.
- Jak mogłaś? - Spojrzał jej w oczy. - Przecież wiesz, co czuję do tego człowieka.
- I wiem także, co Jane czuje do niego - rzekła Rita stanowczym tonem.
- Sakir potrząsnął głową.
- On traktuje ją jak zabawkę.
- Nie sądzę.
- Skąd ta pewność? - zapytał.
- Ujęła dłońmi jego twarz. Promienie zachodzącego słońca rozświetlały i barwiły mu policzki.
- Poznaję to po oczach mężczyzny.
- Sakir uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.
- Tak, wierzę ci, kochanie.
- Przytuliła się do niego i pocałowała z czułością.
- Stoczyliśmy ciężką walkę, Sakir - rzekła z ustami przy jego ustach. - Ale przewyciężyliśmy całe zło, no i proszę - szczęśliwi, zakochani, i nasze piękne dziecko śpiące teraz na górze.
- Tak, jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie. Dumny jestem z nas i z tego, co mamy. Również Jane należy do mojej rodziny. Jest z domu Al-Nayhal.
- Jane to silna kobieta.
- Zawsze będzie moją małą siostrzyczką i każdej chwili gotów jestem oddać za nią życie.
- Wiem. - Rita objęła go i pocałowała namiętnie. - Za to właśnie tak cię kocham.
- A ja ciebie.
- Znów połączył ich pełen pasji pocałunek.

- Co mam zrobić, żebyś przestał o tym myśleć? - zapytała szeptem.

- O czym?

Podniósł ją i posadził na biurku. Uśmiechał się, rozpinając jej bluzkę.

scandalous

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Świetny pomysł!

Radosna nuta w jego głosie przywołała uśmiech na twarz Jane. Stała przy kuchni z ręcznikiem przerzuconym przez ramię i patrzyła na Bobby'ego - wyglądał bardzo sexy w czarnych dżinsach, białej koszuli i, co najważniejsze, z tym swoim szelmowskim uśmiechem na ustach.

- Jaki pomysł, panie Callahan?

- Taki mianowicie. - Skrzyżował ramiona i wskazał gestem głowy patelnię, na której Jane coś smażyła. - Bo jajka na bekonie...

-I grzanka - dopowiedziała z lekką kpina w głosie. - Nie zapominaj o grzance.

- Lekko przypalonej.

Roześmiała się.

- Właśnie - mruknął. - O to mi chodzi.

- Mnie też - potwierdziła, odwracając się w stronę płyty kuchennej.

- Popatrz, popatrz - mówił wskazując na patelnię, na której dostrzegł teraz kawałek kurczaka z grzybami, przyprawionego winem i sosem maślanym. - Wygląda to całkiem... profesjonalnie.

- Mówiłam ci przecież, że jestem kucharką, prawda?

- Faktycznie. Ale nie mówiłaś, że aż takiej klasy.

Obróciła się, obrzuciła go spojrzeniem, że niby jest zaskoczona, ale zaraz w jej oczach pojawiły się figlarne błyski i roześmiała się.

- Najpierw spróbuj; orzeszki dodają smaku...

- Ja nie mam ochoty na deser - oznajmił rozkapryszonym tonem.

- To nie żaden deser. Deser jest w twojej lodówce.

Włożył do ust kawałki grzybów.

- Dziwny smak. Co z tym zrobiłaś?

- To tajemnica zawodowa. Jestem kucharką - powtórzyła. Popołudniowe słońce wypełniało kuchnię złotym blaskiem, co jeszcze bardziej podkreślało przytulność wnętrza. - Niektórzy moi koledzy w Kalifornii - ciągnęła - wołają wprawdzie hot dogi z tymi różnymi dodatkami wątpliwej jakości, ale nie ja.

- Jasna sprawa - rzekł z widelcem w rękę, a gdy przełknął kolejny kęs, jęknął z zachwytem. - Może to nie brzmi seksownie, ale niech mnie szlag! - twoje miejsce, szanowna pani, jest w kuchni.

Poczuła raptem niesamowitą bliskość z tym człowiekiem i uśmiechnęła się.

- Dzięki, i chyba masz rację.

Bobby nalegał, a zresztą oboje byli siebie spragnieni i nie chcieli czekać, aż danie będzie gotowe, więc zajadali te niedosmażone smakowitości prosto z patelni. Dla kucharki to normalna rzecz, tyle że nigdy do tej pory nie towarzyszył jej w tej czynności mężczyzna.

I to taki!

Bobby nie ukrywał swego zachwytu - potrawą, rzecz jasna. Jadł z zapałem, smakowicie, nie szczędząc kucharce pochwał po każdym niemal kęsie. A te jego słowa sprawiały Jane ogromną radość. Właśnie z powodu tej radości, wyrażanej przez smakoszy, poświęciła się sztuce kulinarnej.

Gdy Bobby najadł się już, oparł się o blat i unosząc brew popatrzył na Jane.

- Jesteś niesamowita - powiedział.

Zaczerwieniła się.

- Cieszę się, że ci smakowało.

- Smakują mi ostatnio również inne rzeczy. - Mrugnął filuternie. - Jesteś gotowa na przejażdżkę?

Zabrakło jej tchu, bo wyobraziła sobie nagle, że ta „przejażdżka” nie ma nic wspólnego z końmi.

- Daj mi minutę na osiodłanie koni - powiedział.

Równie szybko to jej podejrzenie znikło. Zagryzła usta, powstrzymując się od śmiechu. Naprawdę bliska była rozpaczy. Smutne, ale prawdziwe. Chciała wiedzieć, kiedy ten pocałunek nastąpi, chciała wiedzieć, dlaczego to wszystko idzie teraz tak wolno, skoro zaczęło się tak cudownie szybko. Zakładała, miała nadzieję, że on z nią nie igra...

Nieustannie miała w pamięci ostrzeżenie Sakira dotyczące jej i Bobby'ego.

- Chodźmy - rzekł, prowadząc ją ku drzwiom od frontu.

- Zachód słońca zapowiada się fantastycznie.

- Jesteśmy tuż po obiedzie, to jest bardzo niezdrowo - powiedziała.

- To jazda konna, nie pływanie, Jane, pełne brzuchy nie stanowią przeszkody.

- No dobrze, prowadź, kowboju. Ale mnie daj najstarszą i najpowolniejszą szkapinę.

Mężczyzna i koń - dwie świętości.

Bobby Callahan zawsze jeździł sam. Miał już taką zasadę. Żadna baba na koniu ani przed nim, ani za nim. Lecz dziś wieczór kobieta siedziała tuż za jego siodłem, obejmowała go ramionami, mocno, jej uda napierały na jego uda, i było mu cholernie dobrze. Bo na jego szczęście Jane czuła się raczej kiepsko sama na Frankie, koniu, którego specjalnie dla niej wybrał. Sam Bobby nie miał ochoty dosiadać starej klaczy, która jakby jechała po bagnie, ledwie wyciągając z niego kopyta. A skoro taki miał wybór, postanowił przysiąść się do Jane.

Stary ogier Rip posuwał się do przodu, nie przejawiając śladu pośpiechu. W takim więc tempie przemierzali krajobraz teksański, a z każda chwilą, gdy słońce zmierzało ku horyzontowi, robiło się coraz zimniej.

Bobby ściągnął ogiera na jazdę stępa.

- Słońce szybko zachodzi - rzekł.

Dobiegło jego uszu westchnienie oraz słowa:

- Jest pięknie.

- Podziwiasz kraj czy zachód słońca?

- I jedno, i drugie - odparła.

Zachichotał.

- Uważaj, bo złapiesz teksańskiego wirusa - ostrzegł ją,

- Co złapię?



- Wirusa.

- Hm.

- Pomyśl, czy mogłabyś z tym żyć.

Pytanie było podstawowe, tym bardziej aktualne teraz, gdy obserwowali zachód słońca, piękną okolicę, gdy obojgu dopisywał humor. Problem tkwił jednak również w pewnej dozie intymności, którą Bobby uznał za dość kłopotliwą...

Podobała mu się, jej sposób myślenia, mówienia, była mistrzynią kuchni... A te jej pełne usta i długie nogi...

Strużki potu ściekały mu po szyi.

Musiał wciąż pamiętać, że jeśli chce, by tu z nim była, to nie obejdzie się bez kłopotów.

- Teksas już mnie zawojował, Bobby. Z wielu względów go polubiłam. - Jane odsunęła się od niego, zwolniła uścisk rąk na jego ramionach. W końcu jednak przekonałam się, że to dane miejsce wybiera sobie człowieka.

- Obawiam się, że bzdury opowiadasz - warknął.

Roześmiała się, oparła głowę o jego pierś.

- Tak, wiem, ale uznając za bzdurę wiele rzeczy, nie mogłabym podjąć żadnej decyzji.

- I szukałabyś kogoś. Kto by za ciebie tę decyzję podjął? - zapytał, mając sobie za złe przyspieszone bicie serca.

Zanim mu odpowiedziała, obrócił się, chwycił ją w pól i posadził przed sobą.

Kolejne prawo złamane, uznał w duchu. Ale to wszystko w imię zemsty, czyż nie tak? Ścisnęło go coś w dołku, gdy napotkał jej pełne żaru spojrzenie.

- Czy to taki protokół obowiązuje wśród jeźdźców? - zapytała.

- Nie, żaden protokół, taką miałem po prostu ochotę i podjąłem decyzję w twoim imieniu.

Jechali stępa.

Jane, uśmiechając się, założyła nogę na jego nogę, co jeszcze bardziej zmniejszyło dystans między nimi - rzecz jasna w sensie dosłownym.

- Będziemy dalej tak jechać? - zapytała.

- Nie, zatrzymamy się przy tym drzewie i zawrócimy.

- Dlaczego? - Spojrzała na ogromne drzewo i przytuliła głowę do piersi Bobby'ego. - Fajnie jest - powiedziała. - Jedziemy dalej.

- Nie - oznajmił stanowczo.

Rozszalały się w nim emocje niczym płomień buzujały w piecu. Pożądał jej, przytulonej do niego, przywartej do jego ciała... I owo pożądanie pozbawiło go poczucia jakiegokolwiek rycerskości. Czuł bicie jej serca. Czy była podniecona, czuła podobnie jak on? Chciał ją chronić. Ale jak ma ochronić siebie?

Spojrzała na niego uniósłszy wzrok.

- Dlaczego nie możemy pojechać dalej? - zapytała.

- Za tym drzewem...

Łatwiej było myśleć tymi słowami niż je wymówić.

- Słucham? - zapytała świdrując go wzrokiem.

- To ziemia twego brata, kochanie.

Nie odrywając od niego wzroku, skinęła głową.

- Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu - rzekła.

- Miałyby - powiedział tym razem stanowczo. - Od sprzedaży tej ziemi nie zbliżyłem się nawet do granic jego posiadłości. I nie zamierzam złamać tej zasady.

Zatrzymał konia obok tego drzewa. Spoglądał na żółte liście, gruby, potężny pień, jak gdyby zastanawiając się, jak zwykł był to czynić przy każdej takiej okazji, ile też czasu by zajęło ścinanie go.

W jego czarne myśli wdarł się dźwięczny głos Jane:

- Bobby, opowiedziałeś mi tylko część tej historii. Jestem na tyle inteligentna, żeby domyślić się, że istnieje druga.

- Bo istnieje.

- Opowiesz mi?

Oczywiście, chciałby jej opowiedzieć, od początku do końca. Od telefonu jego ojca, który smutnym głosem oznajmił mu, że ziemie Callahanów już do Callahanów nie należą, do obietnicy Bobby'ego, której wolałby nigdy nie składać. Ale stało się, co się stało, a obietnica jest czymś, czego nie puszcza się w niepamięć. Bez względu na to, że ma ona związek z osobą Jane.

- Musiałeś wrócić do domu, prawda? - zapytała. - Zostać pracą, bo twój ojciec utracił...

- Ziemie - dokończył. - Tak, lubiłem rodeo, to najlepsze zajęcie dla młodego mężczyzny, ale ojciec potrzebował mojej pomocy, także siostra, Kimmy.

- Poświęciłeś się dla rodziny.

Chrząknął.

- To nie tak.

- A moim zdaniem, tak.

Podziw w jej oczach, jej uroczy, słodki uśmiech rozbroiły go. Dlaczego ona nie jest takim kłamcą, takim zimnym draniem jak jej brat?

Odrzucił od niej spojrzenie, ogarnął wzrokiem krajobraz,

ziemię już nie jego, i przywoływał w duchu gniew, w którym znalazłby pocieszenie.

- Rodzina troszczy się o ciebie, to jasne - powiedziała.

Zerwał się wiatr i Bobby przytulił mocniej Jane, która zapytała:

- Nigdy nie myślałeś, żeby wrócić na rodeo?

- Moje życie jest teraz tutaj - odparł ze stanowczością, jaka dawno nie brzmiała w jego głosie.

- Nigdy nie żałowałeś własnego poświęcenia?

- Nie! - rzekł, choć nie za bardzo uwierzył w to „nie”. Oczywiście brak mu było areny, podróżowania. - O czym my w ogóle rozmawiamy? - zapytał. - Sądziłem, że chcesz się dowiedzieć, jak twój brat zagarnął ziemię mego ojca. Była ona we władaniu naszej rodziny od przeszło pół wieku.

- Czy twój ojciec musiał sprzedać ziemię?

- Tak - odparł Bobby przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego?

- Miał problemy z producentami oleju roślinnego.

Zdaniem Bobby'ego miało to związek z Sakirem Al-Nayhalem, ale nie mógł tego udowodnić.

- Zatem Sakir nie ukradł ziemi, on...

Bobby przerwał jej dość gwałtownie:

- Parę razy próbował ją kupić, ale ojciec powiedział mu, że nie ma mowy, żeby się odczepił. Twój brat to dumny facet i ujął się honorem, ale przy pierwszej okazji wziął to, co chciał.

- Dlaczego sądzisz, że tak mu zależało na tej ziemi?

Bobby wzruszył ramionami, prychnął ironicznie.

- Oświadczył, że ta ziemia ma wielki potencjał, który musi być wykorzystany.

- A to nieprawda?

Po co ona o to wszystko pyta? - pomyślał z gniewem Bobby. Co za cholerna inkwizycja!

- Robi się ciemno - rzekł. - Również w mojej duszy.

Poczuła się niewyraźnie, jakby była czemuś winna.

- Wybacz, Bobby - rzekła. - Chciałam po prostu dotrzeć do prawdy.

- Dlaczego? Co cię to wszystko obchodzi?

Czy ona nie wie, że prawda ma wiele twarzy? Do licha, myślał, jeśli istotnie zabiega o prawdę, odrzuca podejrzenia i co tam jeszcze kryje się w jej sercu, to on nie musi być taki szybki w dotrzymaniu słowa swemu ojcu.

- Obchodzi, bo zależy mi na tobie. - Przygryzła usta, ale nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej, tylko osoby pragnącej znać prawdę. - A ty nienawidzisz mego brata. To właśnie mnie obchodzi.

- Aha, rozumiem.

- Chcę zbudować most między wami.

Rip jechał stępą, gotów każdej chwili zamienić stępą w kłus.

Bobby sprężył się. Objął Jane i przyciągnął do siebie. Całował ją z całą mocą, zachłannie. Gdy odchylił głowę, natopkał jej spojrzenie i powiedział złowieszczym niemal szeptem:

- Sakir Al-Nayhal nigdy nie będzie moim przyjacielem. Bez względu na to, jak silne więzy będą łączyły mnie z tobą. Rozumiesz?

Skinęła głową.

-Tak.

- Wytrzymasz taką sytuację?

- Nie wiem.

Mocniej ją objął. Chciałby znowu ją pocałować, jakoś do niej trafić, zanim będzie musiał zwrócić ją bratu. To nagłe pragnienie zasmuciło go, puścił ją, potem znów przytulił ją do siebie.

- Obejmij mnie, Jane!

Objęła go oboma ramionami, on zaś dał hasło kłaczy, by przeszła w kłus, potem w galop - skoro zmiierzali w stronę rancza.

Gdy słońce skryło się za horyzont, niebo przybrało barwę bakłazanu, wzmagając czerni nocy.

Jane i Bobby siedzieli na ganku, nogi mieli przykryte grubym pledem i jedli lody, których on całą miskę trzymał w dłoniach. Jane rozkoszowała się ich czekoladowym smakiem, rozmyślając o namiętności, jaką oboje czuli do siebie. Nie była to namiętność romantyczna, ale pełna żaru pasja wznosząca się coraz wyżej, nie do pokonania.

To ich wzajemne odczucie stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Bobby'ego przepełniała gorycz. Odwrócił się jakby od własnej przeszłości, zamknął w sobie, w swoich rozmyślaniach. Dlaczego tak się stało? Jane nie wiedziała, nie znała powodu. Bała się, czy aby ona nie ma skłonności do mężczyzn o zranionej duszy, takich, którzy lubią widzieć ją w kuchni, zajętą gotowaniem, radosną, roześmianą. Podejrzewała, że w pewnym sensie jej brat miał rację. Bobby

Callahan mógłby istotnie złamać jej serce. Jakże była głupia, idąc na ten układ.

Spojrzała na Bobby'ego. Był taki sexy, a w jego oczach czaiło się tyle emocji, obietnic szczęścia, współczucia. Zastanawiała się, czy jego dusza zazna kiedyś wolności.

Kolejna łyżeczka lodów, i rzekła w zadumie:

- Romeo i Julia.

Bobby popatrzył na nią uniósłszy brwi.

- Słucham? - zapytał.

- To stało się tutaj. Z nami. Czytałeś tę sztukę w szkole średniej?

- Jasne. Dziewczyna i chłopak zakochują się w sobie i kończą ze sobą.

Uśmiechnęła się, dotykając łyżeczką jego piersi.

- Kończą ze sobą, jak to delikatnie ująłeś, bo ich rodziny nienawidzą się wzajemnie i nigdy by nie pozwoliły na małżeństwo młodych.

- Ja nie mam żadnej rodziny, kochanie - powiedział.

- To kwestia zasad - oznajmiła.

- Twoim zdaniem zamiast widywać się, powinniśmy odebrać sobie życie?

Roześmiała się.

- Oczywiście że nie. Ale moglibyśmy przestać sobie dokuczać.

W jednej sekundzie wyraz jego twarzy zmienił się - z wesołego na tajemniczy.

- Wszystko na świecie jest możliwe. Już dawno doszedłem do tego wniosku. - Rozdzielał łyżeczką bryłkę lodów.  
- Tylko że...

- Tylko że co?

Spotkali się wzrokiem.

- Chodzi ci o to, czy przyjemność warta jest ceny bólu?

- Właśnie.

- Jedno wiem, że coś dobrego wydarzyło się między nami.

Po co się zamartwiać myślami o przeszłości?

Jane odparła grzebiąc łyżeczką w lodach:

- Jestem kobietą, a kobiety zawsze się martwią. Przyszłością. I różnymi innymi sprawami.

Bobby odsunął miseczkę z lodami i wziął Jane na kolana.

- Wciąż o tobie myślę, wiesz o tym?

- Nie wiem, ale ja też o tobie myślę.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odrzekła z uśmiechem, marząc, aby ta trudna rozmowa już się skończyła.

Bobby zarzucił koc na jej i swoje ramiona.

- O czym myślisz?

Uśmiechnęła się.

- O tamtej nocy.

- Aha, o tamtej nocy.

- O twoich oczach - szepnęła.

Pocałował ją w szyję.

- Masz takie ciało.

Uśmiechnęła się, zamknęła powieki.

- Twoje usta.

Przywarł twarzą do jej twarzy, pocałował w usta. Tym razem w jego pocałunku nie było gniewu, było tylko pożądanie. Chłonał jej usta, prawie nie oddychając, spragniony,



zgodniały, każdy nerw drżał mu z podniecenia. Taki napór emocji był dla niej czymś nowym, nieznanym dotąd.

Jęknęła, obejmując go za szyję. Coraz bardziej napięte były jej pocałunki. Działając pod wpływem instynktu walczyła o bliskość jego ciała.

Bobby zadrżał. Odsunął się od niej, a ona dostrzegła, że jego oczy były aż czarne z pożądania i oddychał z trudem.

- Czy ja ci zrobiłam krzywdę? - zapytała.

- Jeszcze nie, Julio.

Poruszyło ją to. Dlaczego on to powiedział? Chce ją porzucić? Wykorzystał szansę, a nie zalicza się do tych, którzy myślą o przyszłości. Zamknęła na chwilę oczy, zmartwiona, sfrustrowana, ale i płonąca z emocji.

Odsunął ją delikatnie od siebie.

- Zaprowadzę cię teraz do domu.

- Wcale cię o to nie proszę.

- Wiem.

Wziął ją za rękę i zeszedł po schodkach z ganku.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Jane wychodziła od brata tego wieczoru, czuła się zmęczona, sfrustrowana i bardziej niż zwykle wytrącona z równowagi. To, co miało być przelotną rozrywką, stało się czymś znacznie poważniejszym. Bobby sprawiał wrażenie, jakby w momencie najbardziej intymnym zdręczał się czymś, i Jane nie miała pojęcia, jak to sobie wytłumaczyć. Czy sęk tkwi w tym, że tak naprawdę to on jej nie pragnie? Czyżby ta jedna spędzona wspólnie noc odebrała całą magię ich związkowi?

Smutek ścisnął jej serce. Bo ona czuła coś wręcz przeciwnego. Ta noc stała się dla niej przełomem - uświadomiła jej, że w jej życiu może istnieć mężczyzna i że na noc w jego ramionach zawsze będzie czekała z drżeniem serca.

Gdy wchodziła do salonu, czuła przytłaczający ją ciężar i doszła do wniosku, że to ten dom wywołuje w niej takie uczucia. W domu Sakira i Rity panował spokój i cisza, a była dopiero godzina dziewiąta. Nie było Marii, Rasana, asystenta Sakira. Czyżby wszyscy poszli już spać? - zastanawiała się Jane, idąc pustym korytarzem w stronę kuchni. Tęsknotę do oczu Bobby'ego Callahana uśmierzyłyby zapewne filiżanka gorącej czekolady.

Zanim jednak doszła do kuchennych drzwi, ogarnął ją jasny snop światła. I zaraz uszu jej dobiegł cichy śmiech. Światło i śmiech dobiegały z biblioteki Sakira. Coś w tym śmiechu przyciągnęło uwagę Jane. Stanęła w drzwiach. Ujrzała siedzących obok siebie na kanapie Sakira i Ritę. Rozmawiali z kimś, kogo Jane nie mogła rozpoznać, bo siedział na fotelu z wysokim oparciem.

Sakir spojrział na przekraczającą próg Jane i widać było, że nie wie, czy się uśmiechnąć, czy przybrać na twarz zatroskany wyraz. Jane, zirytowana, chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił, że dziś wieczór Bobby Callahan nawet jej nie dotknął, ale nie miała szansy, bo Sakir rzekł, nie zwlekając:

- Masz gościa. I to uroczego.

Jane zmarszczyła brwi, weszła do pokoju i niemal zemdlała z wrażenia i radości na widok pięknej długonogiej blondynki.

- Mama! - wykrzyknęła i pobiegła do niej, i przytuliła się do *jej* piersi jak stęskniona mała dziewczynka.

- Jak się masz, kochanie? - zapytała ze śmiechem Tara Hefner, poddając się czułemu uściskowi córki.

- Świetnie. Ale dlaczego nie zawiadomiłaś nas, że przyjeżdżasz wcześniej? Zamierzałaś przecież dopiero w przyszłym tygodniu.

- Chciałam wam sprawić niespodziankę.

Sakir ze zrozumieniem skinął głową.

- I faktycznie sprawiłaś.

Rita uśmiechnęła się.

Jane rada była tak miłemu powitaniu matki przez brata i bratową. Przypuszczała, że Sakir będzie wyniosły, jak je-

go brat Zayad, może nawet z niejakim cynizmem potraktuje kobietę, która przed laty miała romans z jego ojcem. Ale jeśli nawet odczuwał coś w tym sensie, to nie dał nic po sobie poznać.

- Tęskniłam do ciebie - rzekła Jane z niehamowaną szczerością.

- Ja też - powiedziała Tara, tuląc córkę do piersi. Ręce niewidomej kobiety dotknęły twarzy Jane. - Jesteś spięta. Co się dzieje? Wszystko u ciebie w porządku?

Jane zawsze gniewało to, że matka wyczuwała jej nastrój. Nawet gdy już oślepła, Jane nic nie mogła przed nią ukryć.

- Pan Al-Nayhal powiedział mi właśnie - zaczęła - że spotykasz się z nieodpowiednim mężczyzną.

Jane obrzuciła Sakira złym spojrzeniem.

- Nie słuchaj, mamó, mojego wielkiego brata. Jest nadopiekuńcza

- Chyba musisz się do tego przyzwyczaić - orzekła ze śmiechem Rita.

Sakir spojrział na Jane i wzruszył ramionami.

- Powiedziałem prawdę twojej matce. I proszę cię, Taro, mów do mnie Sakir. Jesteśmy teraz rodziną.

Tara obróciła ku niemu wzrok. Jej niewidzące oczy rozbłyły.

- Dobrze mieć rodzinę - powiedziała.

- Czasami - zastrzegła Jane z wątlým uśmiechem na ustach.

Wszyscy się roześmieli- z wyjątkiem Sakira, który zdobył się, z widowym trudem, na nieznaczne wykrzywienie warg. Przez następne trzy kwadranse, popijając wino, rozmawiali o pobycie Jane w Emandii i o przyjsciu na świat małej Dayi.

Gdy zegar w bibliotece Sakira wybił dziesiątą, Jane zauważyła dyskretne ziewnięcie matki.

- Jesteś zmęczona? - zapytała. - Po długiej podróży, oczywiście.

- Tak - odparła Tara.

- Zaprowadzę cię na górę - zaproponowała Rita.

Ale Jane już była przy matce, pomagała jej wstać.

- Dzięki, Rito, ja z nią pójdę.

- Bagaze są już w twoim pokoju - rzekł Sakir, po czym zwrócił się do Jane: - Tara zamieszka w pokoju niebieskim, prawda?

Jane skinęła głową.

- Dobranoc, Taro - rzekła ciepło Rita.

Jane, trzymając matkę pod rękę, zaprowadziła ją na górę. Po drodze rozmawiały o obszernym domostwie Rity i Sakira i jak ładnie potrafili go urządzić.

Niebieski pokój był duży, wygodny - odpowiadał nazwie. Narzuty na łóżku, poduszki i ściany były też w różnych odcieniach błękitu. Pierwsza rzecz, o jakiej marzyła Tara, to rozpakowanie się, tak jak Jane przypuszczała. Niebawem jej odzież i rzeczy osobiste były już pochowane w odpowiednich miejscach.

Tara usiadła z westchnieniem na łóżku i skinęła na córkę.

- Podejdz do mnie, kochanie.

Jane, czując się jak mała dziewczynka, usiadła obok matki, która pachniała lawendą i wanilią, i przytuliła głowę do jej piersi.

- A teraz opowiedz mi wszystko - powiedziała Tara.

I Jane opowiedziała mamie o swoich spotkaniach z Bob-

bym Callahanem, z wyjątkiem oczywiście nocy wspólnie z nim spędzonej. A potem zaczęła mówić o sytuacji, w jakiej się znalazła, o stosunkach, jakie panują między Bobbym a Sakirem.

Tara milczała chwilę, po czym rzekła przyciszonym, pełnym ciepła głosem:

- Nie ma tu chyba winy po niczyjej stronie.

- Też tak uważam.

- Bobby miał trudne życie. Za trudne jak na jednego człowieka.

- I nie obnosi się z tym - stwierdziła Jane.

- Goryczą pokrywa ból. Broni się w ten sposób.

Jane, zdziwiona, uniosła wzrok.

- Właśnie - potwierdziła.

- Typowa w takich wypadkach reakcja na szczęście, radość, wszelkie dobra, jakie przysługują człowiekowi.

- Dlaczego tak się dzieje?

Tara potrząsnęła głową i rzekła ze smutkiem:

- Kiedy cierpi ktoś z twojej rodziny, ty winisz siebie za radość życia, jaką odczuwasz. - Pocałowała Jane w czoło. - Pamiętasz, jak po raz pierwszy po utracie wzroku byłem z tobą na plaży? Pamiętasz, co wtedy czułaś?

Poczucie winy. Całkiem bezpodstawne. Tak, Tara ma rację.

- Nie wiem - zaczęła Jane - czy to gniew, czy poczucie winy, ale tak czy owak to niszczy. Lubię Bobby'ego, mam, ale zastanawiam się czasem, czy Sakir nie ma racji. Czy Bobby'ego stać na więcej... - W zamyśleniu wzruszyła ramionami. - Może istotnie byłoby lepiej, gdybyśmy się rozstali?

Tara uśmiechnęła się.

- Wybór należy do ciebie - powiedziała.
- A co ty byś zrobiła?
- Kochanie - rzekła Tara. - Nie wymagaj ode mnie odpowiedzi na to pytanie. Bo my z Bobbym jedziemy na tym samym wózku. Jestem równie zgorzkniała jak on.
- Co ty opowiadasz? To nieprawda!
- Podobnie jak on - mówiła Tara - ukrywam swoje uczucia. Chyba dobrze mi się to udaje. - Mocniej przytuliła Jane do piersi. - Lecz w przeciwieństwie do twego przyjaciela jestem za stara, żeby dokonać w sobie głębszych zmian.

Słowa matki wzburzyły Jane, i czuła się bardziej zmieszana niż wtedy, gdy wcześniej przekraczała próg tego domostwa. Wyznanie matki było niesamowite. Nie słyszała jeszcze nigdy by Tara skarżyła się na swój los. Zawsze była silna, zawsze głosiła mądre maksymy na temat przetrwania i akceptacji tego, co jest.

O, Boże, jeśli matka potrafiła tak ją zwieść, to dlaczego ma zaufać Bobby'emu Callahanowi? Jaki on naprawdę jest? Czy jeśli jest naprawdę taki zimny, to czy zmieni się kiedykolwiek? Czy pozbędzie się goryczy i pokocha życie? Czy w ogóle chce tego?

Jane przyszło raptem na myśl, czy ona potrafi jeszcze widzieć rzeczy i ludzi takimi, jakimi one czy oni są? Czy może już tylko patrzy na świat przez różowe okulary?

- Wygląda na to - zaczęła odważnie - że zakochałam się po uszy w człowieku, który, jak się wydaje, nigdy mi się nie oświadczy.
- Dziwne - powiedziała Tara głosem, w którym brzmiało wzruszenie - że koleje naszego losu tak są zbieżne.

- Co masz na myśli?

- Ja też zakochałam się w człowieku, który nie zaproponował mi małżeństwa.

Sakir - ojciec Zayada. Przywódca kraju. Żonaty i totalnie niedostępny.

- Ale nie żałuję - rzekła Tara, całując córkę. - Dał mi ciebie.

- Powiedz tej twojej dziewczynie, żeby przyszła.

Bobby zignorował żartobliwe żądanie Abła i pomógł Laurze włożyć jezdziecki hełm. Dochodziła ósma rano, słońce jasno już świeciło, a na Bobby'ego czekała grupa zapalonych jeźdźców. Po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru Bobby nie myślał o Jane.

I oto Abel przywołał myśli o niej.

- Ofiarowała się z pomocą, prawda? - zapytał.

- Tak - mruknął Bobby.

- Skorzystamy z tej oferty. Uczniów jest dwa razy więcej niż zwykle.

- Damy radę sami.

- Nie wygłupiaj się - warknął Abel.

Bobby spojrzał na niego spod oka.

- Ona nie przyjdzie - rzekł. - Coś mi mówi, że nie chce mnie dzisiaj oglądać.

- Dlaczego? Co takiego zrobiłeś?

- Nic szczególnego.

Bobby starał się zawsze zdystansować do uczuć, które były nierealne. Umiał radzić sobie z gniewem, irytacją, rozpaczą, nawet panować nad zwykłym popędem seksualnym, ale tego, co się zdarzyło między nim, starym wyjadaczem,



a młodą niewinną dziewczyną nie mógł sobie darować. Dlaczego oni oboje tej nocy, gdy dowiedział się, kim ona jest, nie zdołali powiedzieć sobie stop? On nie potrafił - rzuciła na niego urok.

Miał prawo jej pożądać i na tym koniec. Nic więcej nie było mu wolno.

Klacz nastąpiła na nogę Abła. Ten zaklął podłe i zerknął na nastolatka, który pomagał mu w czyszczeniu konia. Pochylił się nad Bobbym i zapytał:

- Czyżbyś chciał porzucić wspaniały samotny żywot?
- I kto to mówi? - odparował Bobby.

Nastolatek zachichotał i zaraz urwał pod groźnym spojrzeniem Abła. A ten ponownie nachylił się nad Bobbym i szepnął:

- Dobrze wiesz, chłopie, że nie miałem wyboru.

Bobby spojrział Ablowi prosto w oczy, zamierzając powiedzieć coś w rodzaju „to nie twoja sprawa”, ale nie powiedział. Ten człowiek był mu bliski. Zbyt długo się znali, zbyt wiele wiedział, mówił, co miał na myśli, nie dobierając słów. Choć znacznie starszy, był jego dobrym przyjacielem, więc Bobby rzekł tylko tyle:

- Nie mamy teraz czasu na gadanie. Sam powiedziałeś, że stawiła się dziś liczna grupa amatorów jazdy - oznajmił i poszedł sobie.

- Uważasz, że robię dobrze?

- Oczywiście - zapewniła Jane swoją matkę podjeżdżając do rancza. Pracownik Bobby'ego powiedział, że jeszcze jedna para rąk do pracy przy dzieciach bardzo się przyda.

- Ja nie chcę być ciężarem, to jasne.

Promień porannego słońca padł na szybę pasażera, barwiąc na kolor złota ładną twarz matki.

- Mamo, nie opowiadaj takich rzeczy. To do ciebie niepodobne.

- Litowanie się nad sobą? Wiem. - Uśmiechnęła się. - Ostatnio czuję się trochę samotna.

- Nawet wśród przyjaciół? - zapytała Jane parkując samochód przed domem Bobby'ego.

Tara wzruszyła ramionami.

- Może nie tacy przyjaciele są mi potrzebni.

Poruszyło to Jane. Przez te z górą dwadzieścia lat nie przyszło jej nawet na myśl, że Tara chciałaby mieć przy sobie jakiegoś mężczyznę. Zawsze była pochłonięta życiem, jakiego wiodła, sztuką, nią, Jane. Tak, to jasne, potrzebny jest jej towarzysz życia, miłość. Przecież to oczywiste.

Okrzyknęła wóz i otworzyła drzwi od strony matki. Tara ujęła rękę córki i ruszyły w stronę domu.

- Minęło sporo czasu, odkąd miałam wpływ na to, co się tu dzieje.

- Niewiele się tu zmieniło, mamo. A ty masz wolną rękę, możesz robić, co chcesz, zapolować na grubą zwierzynę.

- Podoba mi się to określenie. Więc nie będziesz mi miała za złe? Mogę się z kimś spotykać?

- Oczywiście. Udanych łowów, mamo.

- Łowów? - Rozległ się od strony ganku czyjś męski głos.

Jane uniosła głowę i dostrzegła Abła Garreta wspartego o poręcz. Uśmiechał się.

- Nie ma mowy o żadnych łowach - rzekł.

Gdyby wiedział, o czym one mówiły, pomyślała Jane, tłumiacząc uśmiech. Spojrzała na Tarę, która wyglądała na nieco spłoszoną.

- To Abel Garret, mamó, zarządca rancza Bobby'ego.

Abel, wiedząc o kalectwie Tary, zbiegł ze schodków jak młodzieniec i ujął jej dłoń.

- Bardzo mi przyjemnie, madame.

Tara najpierw jęknęła, a potem roześmiała się.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał Abel zwracając się do Jane.

- „Madame” - odrzekła Jane.

- Ten zwrot bardzo mnie postarza, panie Garret, tak to odczuwam. - rzekła Tara ze śmiechem

- Rozumiem, oczywiście - powiedział Abel patrząc jej w oczy, jakby mogła go widzieć. - Bo wygląda pani góra na trzydziestkę. A może będziemy sobie mówić po imieniu? - zapytał.

- Jasne... Abel.

Nagle Jane poczuła się jak czwarte koło u wozu. Nigdy jeszcze nie doświadczała takiego uczucia. Abel i Tara stali blisko siebie, jakby zapomnieli o jej obecności, rozmawiali o ranczu i pracy Abła.

Jane nie chciała im przeszkadzać, ale musiała zobaczyć się z Bobbym. Rada była, że Bobby kazał Ablowi zadzwonić dziś do niej i zaprosić na ranczo, że poskromił nieco swą dumę i dał do zrozumienia, że chce się z nią spotkać. Wciąż nie miała pojęcia, co z nimi będzie, ale sam fakt, że to on zrobił pierwszy krok, dawał jej jakąś nadzieję.

- Czy Bobby jest tu gdzieś? - zapytała Abła.

Nie odrywając wzroku od Tary, odpowiedział:

- Na wybiegu. Tam go można zastać.

- Idziemy? - zapytała Jane dotykając ramienia matki.

- Pójdę po lemoniadę - wtrącił szybko Abel, nie dopuszczając Tary do głosu. - Napijesz się, Taro.

- Świeżo wyciśnięta?

- Tak, szanowna pani. Może coś jeszcze?

Tara potrząsnęła głową przecząco.

- A jeśli już o tym mowa, to wolę „pani” bez „szanowna”.

Roześmieli się oboje, a Jane potrząsnęła głową z niedowierzaniem: jej matka flirtuje pełną parą.

- No to pójdę poszukać Bobby'ego - powiedziała.

Pomachali jej ręką, po czym Abel wziął Tarę pod ramię i weszli na ganek.

Na ranczu panowała cisza i Jane zastanowiła się, gdzie się podziały wszystkie dzieci. Abel wspomniał jej, że będzie zajęty z inną grupą dzieci. Przed domem nie było jednak dużo samochodów, którymi rodzice przywieźliby tu swoje pociechy.

Idąc w stronę wybiegu Jane natknęła się na Bobby'ego. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, a nawet zakłopotanie.

- Jane! - powiedział.

- Cześć - odparła.

Patrzył na nią, a po chwili, nawet z nutą uszczypliwości, zapytał:

- Co ty tutaj robisz?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jane była niczym chłodny powiew na jego rozgrzane i spocone ciało. Słońce świeciło przy niej jaśniej, świat był piękniejszy.

- Abel powiedział, że przydałaby ci się jeszcze jedna para rąk. - Wpatrywała się w niego i po chwili wyraz rozczarowania pojawił się w jej zielonych oczach. - Nie chodziło ci o to, prawda?

- Prawda.

Milczała parę sekund, po czym skinęła głową i odeszła.

Bobby podążył za nią.

- Chwileczkę, Jane.

Potyając się o kamienie, rzuciła jedno słowo:

- Nie!

- Dokąd idziesz?

- Do samochodu - odparła z podniesioną dumnie głową.

- Dlaczego? Nie chodź nigdzie! - Zaklął pod nosem. - Zostań.

Obejrzała się i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Nie lubię gierki. Nigdy nie lubiłam. To tylko strata czasu. Albo mnie chcesz, albo nie chcesz. Po tej nocy należy mi się chyba szczerą odpowiedź

Bobby poczuł narastającą frustrację. Dostrzegłszy kątem oka stodołę, chwycił ją za rękę.

- Chodź - powiedział.

- Nigdzie nie pójdę.

Usiłowała wyrwać mu rękę, ale nie dała rady. Zaciągnął ją do stodoły, kopnięciem otworzył wrota i wepchnął ją do środka. Skrępował jej z tyłu obie dłonie, by nie miała szansy na obronę.

Oczy mu błyszczały, gdy mówił:

- Nie chodziło mi o rękę do pracy, tylko o ciebie.

- Nie rozumiem.

- Do diabła, Jane. Chciałem cię tu mieć, cały czas. Bo...

- Bo co? - dopytywała się zmrużywszy oczy. - Bo ja naprawdę chciałabym wiedzieć, dlaczego po tej cudownej nocy odstawiłeś mnie do domu.

Co on odpowiedział? Że chyba dostał bzika? Że po tej rozmowie w czasie podróży chyba zgłupiał? Że pokochał ją, że pragnie jej, że marzy o tym, by oni razem...

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Albo odpowiesz, albo sobie pójdę.

Oczy rozbłysły mu gniewem, czuł, że jest cały spięty oczekiwaniem. Walczył ze sobą, ale przegrał. Nie sądził, że tak zareaguje. Pragnął jej ponad wszystko. Właśnie dlatego, wbrew sobie, nie zawiózł jej na ranczo. Dlatego odwiózł ją do domu wcześniej, niż zaplanował to sobie poprzedniej nocy. Tak, myślał, ona sprawiła, że coś się z nim stało, zapomniał, kim jest i czego ma dokonać.

Takie myśli tylko wzmogły w nim pożądanie. Całował ją, a ona nie pozostawała bierna. Wszystko inne przestało być

ważne. Bo ważne było tylko to, co przeżywali, co dawali sobie wzajemnie.

Raptem, gdy najmniej się tego spodziewała, odchyliła głowę. Spojrzała na niego uważnie.

- Czy to w ramach przeprosin? - zapytała, oddychając ciężko, a oczy jej błyszczały takim samym pożądaniem, jakie on odczuwał.

- Możliwe - odparł.

- Wolałabym, żeby tak było.

Uśmiechnął się

- Przeprosiny przyjęte? - zapytał. - Wybaczylesz mi?

- Nie wiem - powiedziała pieszcząc dotknięciem palców jego policzki. - Kara za porwanie powinna być znacznie bardziej dotkliwa niż przelotny pocałunek.

- Przelotny pocałunek? - powtórzył, obejmując ją.

- Dobrze słyszałeś. Nigdy więcej fałszywych sygnałów, Callahan.

- Tak jest - rzekł posłusznie, rozsuwając nogami jej uda.

- Masz ochotę na przejażdżkę?

Uśmiechając się, zapytała:

- Myślisz o koniach czy o czymś innym?

- Najpierw jedno, potem drugie - odparł.

- A co powiesz o pracy, która mnie tu czeka?

- Następna grupa stawi się tu za dwie godziny.

- Dwie godziny? - zapytała z uśmiechem. - Abel nie wspomniał mi o tym.

Bobby położył dłoń na jej szyi, wyczuł puls i pocałował to miejsce.

- Powinien był - oznajmił. - Wiedział przecież.

- Nieważne - orzekła Jane z westchnieniem. - Nie ma co do tego wracać.

- Oczywiście - mruknął. - Wkraczamy teraz w sferę ducha, w inny świat.

Jane wstrzymała oddech.

- W sferę ducha? - zapytała.

Bobby wytrzymał jej wzrok.

Na jaką cholere powiedział o tej „sferze ducha”? Sam przecież nie lubił tych romantycznych bajań.

Zacisnął zęby, zastanawiając się, jakby tu zatuszować tę wypowiedź. Czyż to możliwe, by te dwa słowa - rzeczywistość i fantazja - wykluczały się nawzajem?

Nie miał nigdy ochoty, by się nad tym problemem zastanawiać.

Tymczasem Jane, objawszy go za szyję, przytulała się do niego coraz mocniej.

Słońce grzało bezlitośnie, paliło Jane w plecy.

Dziś miała własnego konia. Lubiła wprawdzie siedzieć za Bobbym, obejmować go w pasie, tulić policzek do jego pleców, ale chciała doświadczyć czegoś nowego, nauczyć się sztuki działania na męczyznę również w ten sposób.

Do tej pory spadła z konia tylko raz.

Jej koń zatrzymał się nagle przed ogromnych rozmiarów kaktusem. Całe szczęście, że jechał stępa, dzięki czemu nie wylądowała na ostrych kolcach rośliny.

- Dajmy koniom odpocząć - powiedział Bobby. - Za tym wzniesieniem jest jezioro. Możemy popływać.

- Domyślam się, że prysznic tu nie ma.



- Miejska dziewczyna - rzekł z uśmiechem. Wyglądał fantastycznie w dżinsach i T-shircie, opalony na brąz, w kapeluszu z szerokim rondem. - Jeśli chcesz być prawdziwą kowbojką, to nawet nie wspominaj o prysznicu na trasie.

- Skąd wiesz, że chcę być kowbojką? - odpaliła, gdy zjeżdżali ze wzgórza ku przejrzystym wodom jeziora.

- Masz rację, nie wiem - rzekł patrząc jej w oczy. - Nie wiem nawet, czy chciałabyś w Teksasie dokonać żywota, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem ani kiedy, ani gdzie.

Bobby oderwał od niej wzrok, spojrzął w stronę jeziora.

- Nie wejdiesz do wody w ubraniu - powiedział.

- Raczej nie.

- Jezioro wygląda na głębokie - zauważył zeskakując z konia.

- Umieję pływać i nie boję się nurkowania - rzekła, podczas gdy Bobby pomagał jej zejść z konia.

Spętał oba konie i stanął tuż przed nią.

- A ja się nie boję patrzeć na ciebie - oznajmił. - I nie miałbym nic przeciwko towarzyszeniu ci w tej zabawie.

- Nie wiem, jak odbywa się nurkowanie we dwójkę. Chyba całkiem inaczej.

Uśmiechnął się i sięgnął do jej jasnoniebieskiej bluzki, jakby chciał pomóc w jej zdejmowaniu.

- W jeziorze są drapieżne ryby - powiedział.

- Możliwe - odrzekła.

- Kto cię obroni? - zapytał tonem pełnym troski.

- Dobre pytanie - stwierdziła.

Z bijącym sercem uniosła ramiona, dając tym gestem do zrozumienia, że może ściągnąć z niej bluzkę.

Co też uczyniwszy Bobby sięgnął do zamka jej dzinsów.

- Mogę kontynuować? - zapytał.

- Tak, trzeba się od tego uwolnić - powiedziała, rozsuwając zamek. Zastanawiała się przy tym, kiedy Bobby pójdzie jej śladem i jak będzie wyglądał - nagi, w promieniach słońca. - Czy ktoś może nas zobaczyć? - zapytała,

- Zero szans - odparł. - Poza Ablem i mną nikt tu nie przychodzi, a on, jak sama mówiłaś, zajęty jest twoją matką.

Jane nie myślała już ani o swoim biustonoszu, ani o majtkach. Zapomniała nawet oddychać, gdy patrzyła, jak Bobby ściąga koszulę. Śmieszne, ale czas jakby zatrzymał się dla niej w miejscu, i tylko nuciła sobie w myślach melodię piosenki o miłości. Bobby, opalony równo na całym ciele, wyglądał wspaniale. Po raz pierwszy widziała go bez ubrania tego wieczoru w łóżku u Turnboltów, ale wtedy raczej czuła go, niż rejestrowała wzrokiem jego wygląd.

Patrzyła, jak jego dłonie dotykają sprzączki u paska, zamka błyskawicznego u spodni. Czuła ucisk w gardle, ciężar na piersi, gdy obserwowała go, jak zsuwa dzinsy, slipki, podziwiała jego silne mięśnie ud.

Policzki paliły ją żywym ogniem.

Uśmiechał się do niej.

- Pozbądź się tych łaszków i idziemy pływać.

Zanim dotarli do niej jego słowa, on już był w wodzie. Korzystając, że zanurkował, zdjęła majtki i biustonosz i weszła do jeziora. Stała w wodzie po kostki, gdy Bobby wypły-

nał na powierzchnię. I patrzył na nią, na jej piersi, na ciemną kępkę włosów między udami.

Czuł, jak wzbierają w nim emocje, pożądanie.

Dał nura i wypłynął nieopodal niej. Rozpryskując wodę, podbiegł do niej, wziął ją w ramiona.

- Aż do dziś nie wiedziałem, jaka jesteś.

Roześmiała się, obejmując nogami jego biodra.

- To samo pomyślałam o tobie - rzekła.

- I zawiodłaś się? - zapytał z szatańskim uśmiechem.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała czując, jak prąd elektryczny przeskakuje z jego mięśni i razi jej ciało.

Odgarnął z jej czoła pukiel włosów.

- Wiesz - zaczął - jak byliśmy mali, to pływaliś tutaj z Kimmy. Ojciec uczył ją, ale jej żadna nauka nie była potrzebna.

- Była chyba fajną dziewczyną, prawda?

- Tak, bardzo fajną, i kochała mnie.

- Szkoda, że jej nie znałam.

Oczy mu zwilgotniały, dotknął kciukiem jej policzka.

- Polubiłaby cię.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Kimmy miała nosa do... dobrych, miłych ludzi. Lubiła ludzi.

Jane uśmiechnęła się z zażenowaniem. Miło jej było, że tak do niej mówi, o niej mówi, że tak jej dotyka - ciepłym, a zarazem władczym gestem, i marzyła o tym, by ją pocałował. Objęła go, przytuliła się do niego.

- A ty lubisz ludzi, Bobby? - zapytała z ustami tuż przy jego ustach.

- Szczególnie pewną dziewczynę - odpowiedział. - I szczególnie lubię robić z nią pewne rzeczy.

Leżeli na łacie słońca, rozleniwieni, szczęśliwi i nie chcieli im się stąd ruszyć, ale...

- Konie są niespokojne - powiedziała Jane rozleniwionym głosem.

Bobby wsparł się na łokciu, spojrzał na nią - leżała tylko ręką sięgnąć i była porażająco sexy...

- Bóg mi świadkiem, z jaką niechęcią o tym mówię, ale robi się późno. Trzeba wracać.

- Zawsze możemy znowu tu przyjść - rzekła i roześmiała się, zdając sobie sprawę z podwójnego znaczenia tych słów.

- Zawsze, zawsze i jeszcze częściej niż zawsze - dodał Bobby ze śmiechem.

Obrzuciła go spojrzeniem, które przywołało czujność na jego twarz.

- Ubierz się teraz - zaczął - bo zapomnę, że dzieciaki czekają na mnie w domu.

Spojrzała nań z obawą.

- Nie wolno ci o tym zapominać - rzekła.

- Wiem. - Rzucił jej bluzkę, džinsy. - Pospiesz się.

Oboje szybko się ubrali. Dosiedli już koni, gdy Bobby obrócił się ku niej i zapytał:

- Naprawdę chcesz pomóc Ablowi przy dzieciach? Daj spokój, Abel żartował.

- Ja chcę tu zostać, Bobby - oświadczyła mu z całą szczerością.

Skinał głową, czując się tak, jakby wygrał los na loterii.

Woda jeziora nigdy jeszcze nie była tak przyjemnie chłodna, słońce nigdy jeszcze tak przyjemnie nie grzało, a on nigdy jeszcze nie czuł się tak komuś niezbędnym. Jane była kobietą bez uprzedzeń, wolną. Niepotrzebne jej były bukiety róż i Frank Sinatra w tle. Dawała z siebie wszystko i brała, co sprawiało jej rozkosz, ale w równym stopniu dbała o swojego partnera.

Była absolutnie wyjątkowa.

A on nie zasłużył sobie, by jej dotknąć.

Po dwudziestu minutach byli już na ranczo.

Pierwsze, co Bobby ujrzał, to wysoka blondynka pod pięćdziesiątkę stojąca z Ablem przy zagrodzie. Szczotkowała Missy, piękną czarną klacz. Sprawiała wrażenie nieobytej z końmi, ale oboje z Ablem śmieli się, jak gdyby znali się od wieków, a nie od godziny z kawałkiem.

Bobby nie znał jej, ale był prawie pewny, że to matka Jane, Tara Hefner. A po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że Jane ma podobne do matki usta i podobnie szczupłą sylwetkę.

Jane zsiadła z konia, jak tylko oboje do nich podjechali.

- Co ty tu robisz, mamó?

- Jak widzisz - odparła Tara ze śmiechem, patrząc Jane prosto w oczy.

- Przecież ty boisz się koni. Sądziłam nawet, że zaopatrywałaś dzieci przed konną jazdą w hełmy i kije.

Abel uśmiechnął się do Tary i poklepał Missy po szyi.

- Naprawdę, Taro, boisz się koni? Nie rozśmieszaj mnie. Myślałem, że przez całe życie miałaś z nimi do czynienia.

Tara zaczerwieniła się, potrząsnęła głową i spojrzała na Abła.

Jane, zaszokowana z lekka, a może nawet zaniepokojona widoczną intymnością, jaka panuje między tymi dwojgiem, wzięła matkę za rękę i obie podeszły do Bobby'ego.

- Mamo. Chcę cię z kimś poznać. To Bobby Callahan.

Tara Hefner była równie piękna jak jej córka i równie zgrabna. Wyciągnęła rękę mówiąc:

- Cześć, Bobby.

Bobby był pod wrażeniem. Tara miała w sobie jakąś miękkość i ciepło kobiet Południa, podobnie zresztą jak jej córka. I Bobby nie dziwił się, że Abel szalał za nią.

- Miło mi panią poznać - rzekł Bobby.

- Nie masz chyba nic przeciwko drugiemu asystentowi?

- Nie. Jak zwykł mawiać mój ojciec, żadna pomoc nie przynosi nikomu ujmy.

Uśmiechnęła się i powiedziała przyciszonym tonem:

- Twój ojciec był chyba dobrym człowiekiem.

- Tak - rzekł Bobby, widząc kątem oka pytające spojrzenie Jane.

Przyszły dzieci i rozmowa nabrała żywszego tempa. Bobby natychmiast zapędził Jane do roboty przy szykowaniu koni do jazdy. Od czasu do czasu spoglądał na nią z dumą, gdy zachęcała którąś z dziewczyn, by przesiadła się z wózka na Dandy, starą białą kłacz. Już jej tu było dobrze, z nim, jego życiem, z nim jako kochankiem. Poczuł żar w całym ciele, gdy przypomniał sobie owo popołudnie.

Odwrócił od niej wzrok i spojrzał na Ablę i Tarę pracujących przy koniach. Abel prowadził dwa dokoła padoku, Tara zaś rozmawiała z chłopcem siedzącym już w siodle.

Wszystko tu było inne niż dawniej. Gdy patrzyło się na

konie oraz ludzi sprawujących nad nimi pieczę, widać było czyjaś troskliwą rękę.

Bobby posadził Kitty Johnson na grzbiecie starej szkapy, rozmyślając przy tym z bólem, że zgodnie z daną ojcu obietnicą będzie musiał porzucić na zawsze to cudowne życie, jakie tutaj wiódł.

scandalous

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy znużona Tara wraz z rozpromienioną Jane wróciły do domu Al-Nayhala. Wszystko tu lśniło, błyszczało, co po skromnie urządzonego ranczu było dla obu pań nieco peszące. A już szczytem był widok Sakira Al-Nayhala, który w białym, suto marszczonym kaftanie, z twarzą wyrażającą ponurą determinację powitał ich u progu domu.

- Dobry wieczór, siostrze Taro.

Skinał głową, a wyraz jego oczu sprawił, że dobry nastrój Jane zniknął w jednej chwili.

Nic nadzwyczajnego nie miało się wydarzyć. Po prostu pod bezcennym kandelabrem miało dojść do rozmowy Jane z bratem o niej i wybranym przez nią mężczyźnie. A po cudownym dzisiejszym dniu Jane była jeszcze bardziej zdeterminowana do walki.

- Dobry wieczór, Sakirze - rzekła szybko Tara, wyczuwając widocznie panujące w tym pokoju napięcie. - Przyjdzie Rita? - zapytała.

- Nie, jest zajęta przy dziecku. Daya nie chce zasnąć.



- Pamiętam - zaczęła Tara - ile nocy chodziłam po korytarzu z tobą na ręku.

- Nie chciałam spać - wyjaśniła Jane Sakirowi. - Byłam trudnym dzieckiem.

- Nieprawda - zaprzeczyła z pasją Tara.

- Ale wyrosłam z tego - rzekła Jane, śmiejąc się.

- Nie byłbym taki pewny - powiedział Sakir z nutą ciepła w głosie. - Dziś po południu pracowałeś na ranczu, prawda?

- Tak, zgadza się.

Spojrzał na Tarę z ciężkim westchnieniem i rzekł:

- Przemów córce do rozsądku, Taro.

- To nie takie proste - odparła ta z uśmiechem.

- Całkiem proste.

- Poczekaj, Sakirze, aż Daya dorośnie. Przekonasz się, jak mały wpływ masz na jej decyzje.

- Z moją córką będzie inaczej.

- No cóż... - Uśmiech nie znikł z jej ust. - Pójdę już na górę. To był bardzo długi dzień.

- Poczekaj! - Jane chwyciła matkę za rękę. - Zaprowadzę cię.

- Nie ma potrzeby. - Sakir klasnął w dłonie i w progu pojawiła się Maria. - Zaprowadź panią Hefner do jej pokoju.

Maria skinęła głową, położyła dłoń na ramieniu pani Hefner.

- Dobranoc - rzekła Tara im obojgu z lekkim wahaniem w głosie. - Bądźcie dla siebie mili.

Widząc, jak ważna jest dla matki świadomość, że wszystko jest w porządku, Jane powiedziała to, co przy takiej okazji zawsze mówiła w dzieciństwie:

- Przyjemnych snów, mamó.

Tara skinieniem głowy i uśmiechem skwitowała te słowa, po czym podążyła z Marią na górę.

Sakir zaś skinął na Jane i udali się do salonu, gdzie na kominku płonęły, trzeszcząc, polana. Jane usiadła obok Sakira na długiej szarej kanapie i czekała, aż Sakir powie, co ma do powiedzenia.

Nie czekała długo.

- Zakochałaś się w nim, tak?

Jane roześmiała się, po czym zapytała marszcząc brwi:

- Skąd ta wiadomość?

- Od mojej żony. Powiedziała, że ty i Callahan...

- Czyżby?

- Twierdzi, że jesteś w nim zakochana. - Odchylił się na oparcie kanapy, skrzyżował ramiona. - Nie zgadzam się na to, Jane. Pozwoliłem ci umawiać się z Callahanem, bo sądziłem, że na tym się skończy. Parę wspólnych wypadów i tyle. Ten człowiek, a dobrze go znam, nie traktuje kobiet serio.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Mam swoje sposoby zdobywania informacji - oświadczył.

Żar płynący od kominka wydał się Jane jeszcze gorętszy. Całe szczęście, myślała, że tylko parę razy spotkała się z nim. Potem natknęła się na niego w domu handlowym, gdzie była z Ritą, i od tego znowu się zaczęło. To nie był przypadek.

- Jane?

Spojrzała w czarne oczy brata i uśmiechnęła się.

- Chcesz powiedzieć, że do tej pory nie związał się na poważnie z żadną dziewczyną?

Sakir zdał sobie sprawę, że informacja, jaką jej przekazał, a która miała stanowić ostrzeżenie, mogła ją tylko zachęcić, i spojrział na nią bacznie.

- Nie przywiązuj do moich słów takiej wagi.
- Przywiązuję, Sakirze.

Nie wierzył jej w gruncie rzeczy, bo chwilę później powiedział coś bardzo głupiego:

- Będę chyba musiał zabronić ci widywania się z nim.

Jane skwitowała śmiechem te jego słowa.

- Nie wygłupiaj się, Sakir.
- Mówię poważnie.
- Mówisz, jakby to był dziewiętnasty wiek, a ty stałbyś na straży mojej cnoty.
- Jako twój brat mam prawo decydować w twoich sprawach, a także stawiać żądania.

Jane nagle przestała się śmiać i nawet uśmiech zniknął z jej twarzy. Patrzyła na niego. Nie, nie żartował. Nie było też braterskiej przekory w jego spojrzeniu. To Szejk Al-Nay—hal wydał polecenie.

Ze wzrokiem weń utkwionym Jane rzekła:

- Posłuchaj mnie, proszę. Ty nie masz wobec mnie żadnych praw. Kocham cię, Sakir, ale ja jestem dorosła i sama stanowią o sobie.

A on mówił dalej, jakby jej w ogóle nie słyszał:

- Skoro mieszkasz w moim domu...
- Przestań, proszę cię.
- Jane...
- Mówię poważnie, Sakir. Wkraczasz na niebezpieczną ścieżkę...

- Ty już na niej jesteś - przerwał jej. - Nasz ojciec nie dopuściłby do tego...

- Ja nie mam ojca - przerwała mu ostrym tonem, o jaki sama się nie posądzała. Ale prawda była taka, że nie liczyłaby się z życzeniem rodzica, który nigdy nie zaistniał w jej życiu, ani brata, który, choć prawie jej nie znał, wiedział jednak, co byłoby dla niej najlepsze.

- Możesz nie znać Wielkiego Sułtana - zaczął Sakir ostrym tonem - ale on nie dopuści do tego, żeby ten związek trwał, ja zresztą podzielam jego stanowisko w tej kwestii.

Utkwili w siebie spojrzenia - uparte zielone oczy i ta druga para, o władczym wyrazie.

Na policzkach Sakira pojawiły się ciemnoczerwone plamy.

- I ja do tego nie dopuszczę - oświadczył.

A Jane milczała - gardło miała ściśnięte, nie dałaby rady słowa wymówić. Nowa rodzina narażała ją na straszne męki, zmuszając do dokonania trudnego wyboru. Lecz wybór polegający na odejściu od Sakira wydał jej się w tym momencie najłatwiejszy.

- Jesteśmy parą smętnych nieszczęśników.

- Niby dlaczego? - zapytał Bobby.

Obaj z Ablem siedzieli na ganku - nad nimi gwiazdy, w dłoniach puszki z piwem - tak jak prawie każdego wieczoru.

- Kolejny wieczór bez kobiet - powiedział Abel ponurym głosem.

- Mów za siebie. Mnie to nie dotyczy - oznajmił Bobby.

- A gdzie jest ta młódka?

- W domu Nayhala.

Słyszając zdenerwowanie w głosie Bobby'ego Abel zmienił temat:

- Tara jest całkiem niczego.

- Tak uważasz?

- Tak. Najładniejsza z kobiet, jakie znałem dotąd...

Głos mu się załamał i ból wykrzywił rysy twarzy na wspomnienie swojej byłej żony. Bardzo ją kochał.

- Może powinienes coś ze sobą zrobić - zasugerował Bobby, myśląc sobie w duchu, że ten człowiek po tym, co przeszedł, zasługuje na dom rodzinny i ciepłe ognisko domowe.

- Być może.

- No to w czym problem? - zapytał Bobby i ton zniecierpliwienia zabrzmiał w jego głosie. - Boisz się znowu kagańca?

Abel łyknął haust piwa.

- Za stary już jestem, wypaliłem się.

- Właśnie widzę.

Bobby uśmiechnął się, Abel zachichotał.

- Ale mimo to - rzekł - nie chcę żyć tak jak ty

Na te słowa Bobby zmierzył Abła pełnym wyrzutu spojrzeniem.

- Co, do diabła, masz na myśli?

- Jedna baba po drugiej. Ledwie jaką przygruchasz, już masz jej dość.

Bobby wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem.

- Po prostu nie spotkałem jeszcze właściwej dziewczyny. A poza tym to nie twoja sprawa.

Abel, ignorując jego ostatnie słowa, rzekł:

- Moim zdaniem Jane jest całkiem do rzeczy.

Bobby też tak **uważał**.

Niech to szlag.

Nie dostrzegał nic złego w ich igraszkach w jeziorze. Chyba jednak to, że poczuł silną więź z tą dziewczyną, jej bliskość, coś, co przeniknęło do jego mózgu i nie pozwoliło mu myśleć o niczym innym.

Jane.

Właściwie tylko o niej mógł myśleć. Pragnął czegoś więcej - dotyku jej rąk, iskierek śmiechu w jej oczach, wszystkiego, co wiąże się z jej osobą.

Rzucił przekleństwem, przesunął w stronę Abła pusty kufel i mruknął:

- Na razie.

I ruszył ku drzwiom. Abel zawołał za nim:

- Dokąd idziesz?

- Przewietrzyć mózgowicę - rzucił Bobby przez ramię.

- Oby ci się udało! - krzyknął Abel ze śmiechem, gdy Bobby szedł w kierunku ciężarówki.

Ciężar jego ciała pozbawiał ją niemal tchu.

Całowali się, pieścili i już, już miało to nastąpić...

Błysk latarki i w okamgnieniu Sakir szarpnął Bobby'ego, odciągnął go od niej. Równie błyskawicznie i z całych sił uderzył go pięścią w brzuch. Bobby jęknął, ale zaraz natarł na Sakira. Jane obserwowała bezradnie walkę dwóch mężczyzn, których nie obchodziło jakby to, co się zwie przekroczeniem linii doczesnego życia.

Nagle ona stała się Bobbym i z siłą mężczyzny podjęła walkę z bratem. Czuła jego ciosy w szczękę, w żebra. Czuła

też bezbrzeżny smutek, przerażenie, ale adrenalina nie pozwoliła jej się wycofać, nawet gdy wyła z bólu, nawet gdy łzy trysnęły jej z oczu...

- Hej, kochanie!

Jane otworzyła oczy, senny koszmar zniknął. Była w swoim pokoju - zapach bielizny pościelowej i powiew nocnego wiatru przywróciły ją rzeczywistości.

Ale było coś jeszcze.

Ktoś.

Serce jej waliło, usiadła, spojrzała w oczy mężczyzny, który był obiektem jej marzeń.

- Boże mój, Bobby!

- Ciii... - Położył palec na jej ustach, rozejrzał się, popatrzył na okno, na drzwi.

A Jane spojrzała na zegarek. Za piętnaście jedenasta.

- Jak dostałeś się do mego pokoju?

- Przez okno.

Nie wierząc własnym uszom, odwróciła głowę w stronę okna, które faktycznie było otwarte.

- To pierwsze piętro, a na dole są strażnicy i psy.

- Tak, są.

Utkwił wzrok w jej ustach, wyciągnął rękę, dotknął jej twarzy.

- To dowód, jak bardzo chciałem cię zobaczyć.

Więc tak się przedstawia sytuacja, pomyślała. On jest tutaj, w jej pokoju, siedzi na jej łóżku.

- Czy coś się stało, czy.

Położył palec na jej ustach.

- Nic się nie stało, kochanie. Chciałem po prostu coś ci dać.

-Co?

- To.

Położył ją z powrotem na łóżku. W jego oczach płonął diabelski ogień, gdy całował jej piersi, ramiona, brzuch.

- I to - dokończył zamykając jej usta pocałunkiem.

scandalous



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tej jego najbliższej bliskości Jane właśnie pragnęła.

Od tamtego wieczoru - od przyjęcie u Turnboltów - zastanawiała się ciągle, czy to, co działo się między nią a Bobbym, czy to, co działo się z nią, jakby była dzikim zwierzęciem, działo się naprawdę, czy też może było to wytworem jej bujnej wyobraźni.

Spojrzała na niego - Bobby klęczał pochylony i całował wewnętrzną stronę jej ud.

Coś się z nią stało, nie potrafiła opisać uczucia, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Od małego palca u nogi po czubek głowy drżał w niej każdy nerw, każda cząstka ciała.

Pomyślała, że impreza u Turnboltów była preludium do tej nocy. Gdy połączyły się nie tylko dwa ciała, ale i dwie dusze, dwa umysły, no i... dwa serca.

- Jesteś taka słodka, Jane - szeptał nie ustając w pocałunkach, które stawały się coraz śmielsze.

Pod wpływem impulsu wsparła się na łokciach i obserwowała wszystkie jego poczynania, co jeszcze bardziej ją podniecało. Odchyliła głowę, zanurzyła dłonie w jego włosach, napierając nań, by szybciej, mocniej...

Bobby nigdy jeszcze nie miał kobiety, która domagałaby

się swego tak otwarcie, bez żadnych zahamowań, i uwielbiał ją za to.

- Proszę!... - jęczała.
- Jak wolisz, kochanie, usta czy...
- Chcę czuć cię w sobie!

Bobby pragnął tego samego. Może nie powinien był okazywać, jak bardzo jej pożąda, ale nie potrafił zapanować nad sobą. Sięgając po kondom, myślał, że na zawsze zapamięta tę noc, tę władczą kobietę.

Krew szumiała mu w uszach. Wszelkie myśli o winie, zemście, rozkoszy i nadziei opuściły go, czuł w głowie pustkę poprzedzającą wybuch euforii.

Tuląc ją szepnął:

- Chyba nigdzie się już nie wybierasz, prawda?
- Nie, nigdzie się nie wybieram - powtórzyła w rytm ruchów ich ciał.

Bobby zdawał sobie sprawę, że ktoś może ich usłyszeć, i tamował swoimi ustami dźwięki, jakie wydawała. A gdy on w momencie szczytu wykrzyknął, ona zamknęła mu usta pocałunkiem.

Mijały minuty, może wiele minut - nie wiedział. Czuł się wyczerpany, niezdolny ruszyć się z miejsca. Nigdy chyba nie był tak szczęśliwy, tak wyzwolony, wszystkie obawy zeń wyparowały.

- Bobby?

Odszukał ją wzrokiem, zaspaną, radosną.

- Tak, kochanie?

Wsparła o dłonie twarz.

- Muszę cię o coś zapytać.

- Pytaj.

Uśmiechnęła się, odrobinę zmysłowo.

- Czy dziś wieczór zdobywałeś tajemnie twierdzę wroga?

Odwzajemnił jej uśmiech, choć aż się cały skręcał z poczucia winy.

- Dobrze wiem, że nie jestem tu mile widziany. I tak, to prawda, mam satysfakcję, że nikt nie dowiedział się o moim tu przybyciu. Ale uwierz mi: wdrapałem się na to drzewo tylko dlatego, żeby cię zobaczyć, kochanie.

- Tęskniłeś do mnie?

- Cholernie.

- To dobrze. - Pocałowała go, całowała powoli, zmysłowo, po czym szepnęła: - Chyba powinieneś już iść.

Bobby zachichotał przewróciwszy się na wznak i rzekł:

- Nie to chce słyszeć mężczyzna po upojonej nocy.

Z jej oczu zniknął uśmiech, ramiona opadły.

- Wiem - zaczęła - ale nie stać mnie na podjęcie kolejnej walki.

- Jakiej kolejnej walki?

Westchnęła

- Walka między mną a Sakirem rozpoczęła się wcześniej.

- Chodziło o mnie? - zapytał.

- Nie, o mnie - rzekła ze smutnym uśmiechem. - Chce narzucić mi swoją braterską opiekę.

Poruszyło go to wyznanie.

- Chce, żebyś trzymała się z daleka od kowboja?

- „Chce” to łagodnie powiedziane - rzekła Jane. - On żąda, żebym nie spotykała się z tobą, jakbym miała dwanaście lat.

- Widocznie dla niego masz tyle - powiedział Bobby i pomyślał nagle, że przychodząc tutaj popełnił błąd. Miał sobie za złe, że zadał jej ból, wbił klin między brata i siostrę. Osądził siebie surowiej niż Sakira.

- Co mu na to powiedziałaś? - zapytał ostrym tonem, ostrzejszym, niż zamierzał. - Bo niech nie liczy na to, że będzie to nasze ostatnie spotkanie.

Uniosła brwi wobec tej jego władczości, ale nie zwróciła mu uwagi na tę niestosowność.

- Że jestem dorosła i sama podejmuję decyzje dokonując wyborów i na własny rachunek popełniam błędy.

„Błędy” - tego słowa Bobby nie zaaprobował.

- Potrzebna mi jest większa przestrzeń między mną a moim bratem, to wszystko - rzekła Jane wzruszając ramionami.

Bobby rozejrzał się dokoła.

- No, ten dom jest wystarczająco przestronny - oznajmił.

- Jestem innego zdania. Powiedziałam mu, że wyjeżdżam.

Bobby z wrażenia aż zerwał się z miejsca.

- Co?! - wrzasnął. - Dokąd się wybierasz?

- Przez parę dni zamieszkam w hotelu.

Poczuł ogromną ulgę, że nie wyjeżdża z miasta. Ale tylko przez chwilę bo fakt pozostawał faktem. Nie złościło go to, że jej wyjazd psuje mu plany. Nie w tym rzecz. W tym natomiast, że nie wyobrażał sobie ani dni, ani nocy bez niej.

Czuł się jak w matni.

Fatalna sprawa.

- W sobotę urządzą przyjęcie dla Dayi - powiedziała Jane. - Więc muszę być na miejscu.

- Ty urządzasz?
- Oczywiście - rzekła. - Daya jest moją bratanicą. Przybraną. W tej kwestii Sakir wydatnie studzi moje uczucia, ale nie ośmieliłabym się nigdy złamać tego układu.  
Co do tego Bobby nie miał wątpliwości.
- Nie pójdziesz do żadnego hotelu, Jane.  
Powiedział to bez zastanowienia, nim zdążył pomyśleć.  
Westchnęła, odsunęła się od niego na sam skraj łóżka.
- Znowu zaczynasz mną rządzić.
- Wcale tobą nie rządę, proszę cię tylko, byś została ze mną.  
Uśmiech, jaki mu przesłała, rozświetliłby ciemne teksańskie niebo.
- Jesteś uroczy, Bobby, ale...
- Do diabła z takim urokiem! - burknął zrywając się z łóżka. - Jestem po prostu egoistą. - Jeśli mam znowu wspinać się po tym treliażu, to się chyba wykończę.  
Roześmiała się obserwując, jak wkłada dzinsy.
- Nie możemy do tego dopuścić - rzekła.
- W żadnym wypadku.  
Westchnęła, wzruszyła ramionami i powiedziała:
- Nie wiem. Mama będzie.
- Ty i Tara możecie zatrzymać się u Abła - przerwał jej Bobby. - Stamtąd jest blisko...
- Bobby, ja naprawdę nie wiem...
- Wiesz. - Uśmiechnął się zapinając koszulę. - To cholernie dobry plan, i nie udawaj naiwnej.  
Obserwował jej twarz - widać było, jak waży wszystkie za i przeciw. W końcu rzekła z uśmiechem:

- Zgoda.
- To dobrze, będę po was około siódmej.
- Nie fatyguj się, same przyjdziemy.

Bobby skinął głową, rozumiejąc jej potrzebę niezawisłości. Pocałował ją, po czym ruszył w stronę okna, by tym razem zejść treliązłem w dół. Lekki uśmiech błądził na jego ustach. O niczym więcej nie mógłby marzyć. Jane jest przy nim, w jego domu, na jego włościach - i cóż można chcieć więcej? Oboje zapłacą Sakirowi Al-Nayhalowi za jego czyny i arogancję.

Pożegnanie z bratem nie było przyjemne. Jane ciężko to przeżyła. Rita była zła na męża za jego głupotę i parokrotnie tego ranka próbowała go przekonać, by nie miał pretensji do Jane. Ale Sakir był nieustępliwy. Trwał w przekonaniu, iż Bobby wyrządzi Jane krzywdę, i oświadczył, że nie zamierza beczynn timer przyglądać się temu, co się dzieje.

Przez chwilę Jane zastanawiała się, dlaczego Sakir ma takie zdanie o mężczyźnie, w którym ona się zakochała, i serce jej ścisnął lęk. Zmusiła się jednak do realnej oceny paru ubiegłych tygodni i doszła do wniosku, że powodem owego lęku była jej własna niepewność.

Odprowadzając Jane do auta, Rita wymogła na niej obietnicę, że wkrótce wróci. Jane z kolei zapewniła swoją szwagierkę, że choć wyjeżdża, to nie przestanie się zastanawiać nad szczegółami balu małej Dayi.

W czasie jazdy niewiele z Tarą rozmawiały, ale Jane cały czas czuła, że ma w niej oparcie. Były przecież rodziną i zawsze powinny trzymać się razem.

Jechała na ranczo zadowolona. Cieszyła się, że zobaczy Bobby'ego, że będzie w miejscu, gdzie tyle się dzieje, gdzie człowiek czuje się potrzebny światu i ludziom.

Gdy zatrzymały się na tonącej w kurzu drodze przed wejściem, wyszli im na spotkanie obaj - Bobby i Abel.

- Witajcie - powiedział Bobby, podając rękę Jane i całując ją w policzek. - Jesteście po śniadaniu?

- Nie - odparła Jane wzruszona miłym powitaniem. - Ale ja nie jestem głodna.

Abel ujął z uśmiechem dłonie Tary i zbyt szybko czule ową dłoń ucałował.

- Jak się zapatrujesz na niewielką przekąskę? - zapytał.

Tara spojrzała na Jane z bezradnym wyrazem twarzy. Zawsze miała taki wyraz, myślała Jane, gdy za długo była poza swoją ukochaną garncarnią. Ale oczy jej płonęły dziwnym blaskiem, stwierdziła córka.

- Pomogę Jane z bagażem - rzekła Tara.

- Dam sobie radę, mam - powiedziała Jane.

- Nie fatyguj się, Taro - powiedział Bobby zmiierzając w stronę auta. - Ja to zrobię.

- No dobrze.

Tara, wyraźnie zadowolona, ruszyła wraz z Ablem po schodkach do domu.

- Wygląda na to, że mama wpadła po uszy - powiedziała Jane do Bobby'ego, gdy zbliżali się do domostwa.

Niosąc trzy walizki, jakby to były pudełka od zapalek, Bobby zachichotał.

- Nie tylko ona - zauważył.

- On też? - zapytała Jane.

- Rozłożony na obie łopatki, kochanie - rzekł Bobby ze śmiechem.

Oboje śmieli się wesoło i serdecznie, gdy Bobby zatrzymał się przed uroczym małym domkiem. Wystarczająco jednak dużym, by pomieścić dwie osoby. Wokół kwiaty, krzewy, drzewa, nawet na uboczu mały ogródek warzywny, gdzie rosły krzewy pomidorów obsypane dojrzałymi owocami.

Weszli na biały ganek, Jane rozejrzała się.

- Czy Abel tu mieszka? - zapytała, nie skrywając zdziwienia.

- Tak. Ten zatwardziały samotnik mieszka tu dumny jak paw.

- Tak tu czysto i schludnie.

- Zasługa jego zmarłej żony. - Bobby postawił bagaż na lśniących deskach podłogi. - Posprzątaliśmy, jak widać, świeże serwety, ręczniki.

- Dzięki - powiedziała Jane i ogarnęło ją nagłe zmęczenie; usiadła na kanapie i przetarła oczy.

Bobby usiadł obok niej.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.

- Tak sądzisz?

Przemilczał to pytanie.

- Przed paroma miesiącami - mówiła - moje życie biegło utartym szlakiem, a teraz co się porobiło! Dowiedziałam się o moim prawdziwym ojcu, o tej jego królewskości... Eman-dii... o moich braciach. - Przez otwarte okno dobiegł ich zapach siana, ziemi, poruszanego bryzą powietrza. - Czuję się zagubiona - ciągnęła patrząc na niego smutnymi oczyma. - Myślałam, że jak przyjadę do Teksasu, że jeśli na jakiś czas



opuszczę Emandię i tamto życie - zyskam jakąś perspektywę, znajdę jakąś własną drogę.

- I na pewno tak będzie - zapewnił ją Bobby, choć wyraz jego oczu tego nie potwierdzał. - Ale trzeba na to trochę czasu. Nie możesz wymagać, żeby wszystko od razu samo się ułożyło.

Nikły uśmiech zagościł na jej ustach

- Jeszcze jedno powiedzenie twego ojca?

- Nie. Tym razem to moje.

Obrzuciła go wzrokiem od butów po džinsy, po biały T-shirt. W tak dobrej formie dawno nikogo nie widziała. Dlaczego jej brat...

- Dziękuję, Bobby.

- Za co?

- Że jesteś moim przyjacielem.

Jakiś niedobry cień pojawił się w jego oczach, i odwrócił wzrok. Zaniepokoiło ją to.

- Chyba pójde wreszcie się rozpakować.

- Słusznie. - Wstał. - Ja mam też trochę pracy. Dobrze się tu czujesz?

- Świetnie.

Wyszedł. Jane rozpakowała się, nie myśląc, co będzie dalej. Zanim zacznie zastanawiać się nad swoją przyszłością, musi załatwić dwie ważne sprawy.

Z filiżanką herbaty w dłoni usiadła przy biurku koło otwartego okna i zaczęła rozmyślać o planach imprezy córki tego człowieka, z którym nawet nie rozmawiała, ale którego będzie kochać braterską miłością.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bobby nigdy jeszcze nie miał w swym łóżku dziewczyny.

Śmieszne jak na faceta w jego wieku, ale taka jest prawda, że zawsze trzymał kobiety z dala od swego domu.

Zaczął się od tego, że chronił swoją siostrę, a skończyło - że chronił siebie. I póki Jane Hefner nie wkroczyła w jego życie, wszystko było dobrze. Mało dobrze - świetnie, z jednego kobiecego łóżka przechodził do drugiego, jedną pościel zamieniał na inną.

Ma już tego dość. Nie chce żadnych innych kobiet i nie chce własnego zimnego łóżka.

- O czym myślisz?

Wsparłszy głowę o poduszkę, spojrzął na kobietę, która skradła mu serce. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, owinięta w prześcieradło, z piórem w rękę i arkuszem papieru na kolanie. Nie cierpiał tego papieru - zasłaniał mu widok na jej piersi.

Westchnął. Ciężki dzień, noc spędzona na miłości - to stanowczo zbyt wyczerpujący program. Abel zabrał Tarę do domu, by zajęła się przygotowaniem jedzenia na piknik. Ja-

ne zaś przystąpiła do pracy nad menu imprezy. Zdażyła za- ledwie sporządzić listę win i piwa, gdy Bobby poprosił, by usiadła obok niego na łóżku.

- Przejrzyj to jeszcze raz - powiedział, wskazując na no- tatnik ze spisem dań. - I nie zapomnij o sałatkach, jarzyno- wej i kartoflanej. Te typy z wyższych sfer uwielbiają sałatkę z kartofli, ale nie przyznają się do tego. - Masował delikat- nie jej ramię.

- Przestań z tymi kartoflami - rzekła ze śmiechem, dopi- sując ową sałatkę.

- A co z deserem? - zapytał.

- Będzie ciasto waniliowe z orzechami, krem czekoladowy...

- Ojej, ślinka mi cieknie! - Puścił jej ramię, odrzucił no- tatnik ze spisem dań. - Jak patrzę na ciebie, to ślinka mi cieknie nie od tych słodkości, jakie wymieniasz.

- Nie można się oprzeć tym twoim pochlebstwom - rze- kła z uśmiechem, pochylając się ku niemu.

- Na to liczę.

Jane roześmiała się i uniosła notatnik niczym tarczę ochronną.

- Mam jeszcze zatrudnić trzy osoby. Za niecałą godzinę mam z kandydatami rozmowę kwalifikacyjną. - Wskazała na staroświecki zegar stojący obok na stoliku.

Bobby chwycił obie jej dłonie, przyciągnął ją do siebie.

- Moc czasu - rzekł.

Notatnik wypadł jej z rąk i wylądował na podłodze.

Miała szczęście. Spośród pięciorga osób, z którymi roz- mawiała, trzy odpowiadały jej warunkom. Na przykład

pewien młody mężczyzna, który pracował już w restauracji swojej matki, wymagał jeszcze trochę szlif, ale poza gotowaniem będzie dokonywał zakupów, bo znał okolicznych rzeźników, rolników i dostawców innych produktów.

Wszystko przebiegało jak należy i wbrew rodzinnym sarkaniom impreza Dayi zapowiadała się świetnie.

- Jane?

Jane drgnęła i obejrzała się.

Ulicą szła Rita, ciągnąc za sobą wózek z Dayą. Ładnie wyglądała w blad różowej sukni, z miłym uśmiechem na ustach.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Jak najbardziej - odparła Jane i przez następnych parę minut opowiadała Ricie o jadłospisie, jaki ustalili z Bobbym w jego łóżku. - W sobotę wszystko będzie związane na ostatni guzik. Ale w piątek będę musiała wpaść tutaj, by dopilnować...

- Zawsze jesteś mile widziana, wiesz o tym.

Przechodnie zatrzymywali się przed wystawami, dzieci śmiały się, dokazywały. Jane spojrzała na swoją bratową ze smutnym uśmiechem.

- Jak się czuje mój brat? - zapytała.

- Nie okazuje raczej swych uczuć, ale chyba jest bardzo wzburzony.

- Domyślam się.

- Nie ustąpi.

- Jest cholernie uparty.

Rita skinęła głową.

- Tak. Ale nie miej mu tego za złe, Jane. I nie wściekaj się na niego.

- O, Boże - jęknęła Jane - ja niczego nie mam mu za złe ani nie jestem na niego wściekła. Nie chcę tylko, żeby mną rządził. Mój związek z Bobbym to moja sprawa, nie Sakira, więc niech się nie wtrąca.

- Przywykł już do silnych kobiet wokół siebie - przyznała Rita.

- To prawda - rzekła ze śmiechem Jane.

- A dobrze ci z tym Bobbym? - zapytała Rita.

- Wspaniale - odparła Jane z przesadnym nieco entuzjazmem.

- No to cieszę się razem z tobą twoim szczęściem.

- Dzięki.

Mała Daya zaczęła marudzić, cała trójka ruszyła więc w stronę placu. I Jane postanowiła teraz, tutaj poruszyć problem, który wciąż ją nurtował:

- Czy sądzisz, Rito, że ten konflikt między Sakirem a Bobbym da się załagodzić?

- Nie wiem - odparła Rita wzruszając ramionami. - Może z czasem.

- Też mam taką nadzieję.

Gdy przeszły na drugą stronę ulicy, Rita zatrzymała się i zapytała Jane z uśmiechem:

- Kiedy zdałaś sobie sprawę, że jesteś w nim zakochana?

Jane udała zakłopotanie, co Rita skwitowała wybuchem śmiechu.

- Nie rób z siebie niewiniątka, kochanie - rzekła.

Wzięła Jane pod rękę i ruszyły w stronę głównej ulicy.

- Jeśli chcesz wiedzieć - zaczęła jej szwagierka - to stało się to chyba tej nocy, gdy Bobby zakradł się do twojego domu i do mojego łóżka.

Kiedy Abel Garret rozmyślał o czymś poważnym, stał wyprostowany jak słupek, ze skrzyżowanymi ramionami na piersi, ze zmrużonymi, tworzącymi dwie wąskie szparki oczami. Bobby zawsze wtedy pilnie się mu przypatrywał, a nawet zdarzało się, że pytał go o przyczynę tej zadumy. Dziś jednak odnosił wrażenie, że nastrój Abła nie ma nic wspólnego z problemami rancza.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytał Bobby oschle.

Głuchy dźwięk wydobył się z gardła Abła.

- Co was łączy? - zapytał.

Bobby pytającym gestem wskazał najpierw siebie, potem zwierzę obok.

- Mnie z koniem?

Abel skrzywił się.

- Mam na myśli ciebie i Jane, człowieku!

- No, to już ma sens.

- Odpowiedz mi, Callahan.

Bobby poklepał klacz i spojrzał na swojego pomocnika, którego twarz wyrażała prawdziwie rodzicielskie zatroskanie - co zarówno spodobało się Bobby'emu, jak i nie spodobało.

- Lubię tę dziewczynę, wystarczy?

- Chyba nie tylko lubisz, i takiego zdania jest jej matka.

Bobby nerwowym gestem zerwał kapelusz z głowy. Zrobiło mu się gorąco tego wyjątkowo zimnego jesiennego dnia.

- Czyżby Jane nie wyraziła się jasno? Nie chce, by ktokolwiek wtrącał się w jej sprawy, co robimy... Ja też nie chcę.

- Ostro zagrałeś - oznajmił Abel.

Bobby rzucił mocnym słowem, odwrócił się od Abła i ruszył w stronę zagrody.

Abel ruszył za nim.

- Rodzina zawsze się wtrąca. Można tego nie lubić, ale taka jest prawda.

Złapał ze złością muchę i rzucił w stronę Abła.

- Ja nie mam rodziny - powiedział.

Abel wyglądał jak po ciosie w twarz, i ten widok wzburzył Bobby'ego. Bobby miał w sobie tę smugę gniewu, zrodzoną z obietnicy, jaką złożył człowiekowi, którego pragnienie zemsty mało go już jednak obchodziło. Spotkał kobietę i jego życie znowu nabrało sensu i tamte złe sprawy przestały się liczyć.

- Posłuchaj mnie, Abel - zaczął Bobby, ale ten nie miał zamiaru słuchać smarkacza, jak go w duchu nazywał, i rzekł przez zaciśnięte zęby:

- Mów, co masz do powiedzenia, ale ja oświadczam ci z całą powagą: ta dziewczyna jest w tobie zakochana, Bobby.

Bobby zacisnął usta. Wolałby tego nie słyszeć, ale wiedział, że to prawda.

- Nie skrzywdź jej, uważaj - dodał Abel otwierając bramę.

- Spokojna głowa - rzekł Bobby niezobowiązująco.

- Chyba zresztą i ty coś do niej czujesz, ale tłumisz to w sobie.

- Nie twój interes.

- Dobrze już, dobrze.

Abel pokiwał mu dłonią i ruszył ścieżką w stronę domu.

- Hej! - zawołał za nim Bobby. - Dokąd idziesz?

Abel stanął, obejrzał się przez ramię i rzekł:

- Dziś wieczór biwakujemy z Tarą nad jeziorem. Chce leżeć na plecach i patrzeć na gwiazdy.

- Na gwiazdy...?

Abel uśmiechnął się smętnie.

- Baby na ogół są ślepe na te rzeczy, ale nie ona. Ona widzi więcej niż my wszyscy.

Wsparli się o płot, Bobby wyciągnął z kieszeni zegarek, jaki dostał od ojca z jego podobizną na wewnętrznej stronie koperty. Wpatrywał się w jego surową twarz i w miarę patrzenia kapelusz na jego głowie coraz bardziej mu ciążył. I coraz ciężej było mu na sercu.

Co on wyprawia? Jego życie, proste dotąd i nieskomplikowane, zmieniło się radykalnie, oplótła je sieć kłamstw nieodrodných od pragnienia rozkoszy, uciech wszelakich. A najgorsze było to, i wolał o tym nie myśleć, że zgodnie z wolą człowieka, którego nie ma już wśród żywych, ma zniszczyć kobietę, którą pokochał ponad wszystko.

Ale obietnica jest obietnicą, nie zazna spokoju, póki jej nie spełni.

Na dźwięk opon sunących po żwirze uniósł głowę. Ktoś jechał w stronę podjazdu. Spojrzał w tamtym kierunku - duży czarny wóz zajeżdżał przed domostwo.

Bobby pomyślał najpierw, że to Sakir, i ucieszył się. Gotów był na potyczkę słowną, może nawet nie tylko słowną. Był cały spięty.



Ale mężczyzna, który wysiadł z mercedesa, nie był Saki—rem, choć był do niego podobny.

- Bobby Callahan? - zapytał.

- Tak - padła odpowiedź.

- Jestem Zayad Al-Nayhal. Chcę się zobaczyć z moją siostrą.

scandalous

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pierwszą osobą, jaką zobaczyła Jane, gdy tego popołudnia wróciła na ranczo, był Bobby, spocony, zaaferowany, trenujący swego pięknego czarnego ogiera.

Drugą - był Zayad Al-Nayhal.

Jej najstarszy brat, sprawujący władzę królewską w Eman-dii, stał przy żelaznej bramie z głową dumnie uniesioną, ze wzrokiem utkwionym w jeźdźcu stojącym przy rumaku.

Serce Jane zaczęło mocno bić, co jeszcze bardziej ją rozłościło. Nie cierpiała tego uczucia niepokoju, jaki ją ogarnął. Bo chociaż jej najlepsza przyjaciółka tak ciepło wyrażała się o Zayadzie, on wciąż wywoływał w niej lęk. Jane wiedziała, że jeśli Zayad przybędzie na ranczo Bobby'ego i będzie chciał, jako władca, wymóc na niej pewne sprawy, ona zmobilizuje wszystkie swe siły, by mu się przeciwstawić.

Obserwowała jego stosunek do Bobby'ego, z jaką wyższością na niego patrzy. A może było to po prostu zainteresowanie jego osobą? Trudno osądzić. Chyba jednak to pierwsze. Zayad taki już był. W końcu wychował się w pałacu i miał armię służby na każde swoje skinienie.

Co on tu robi? - zastanawiała się Jane, przygryzając dolną wargę. Miał przyjechać do Teksasu najwcześniej w pią-

tek. Sakir wezwał go widocznie, powiedział, co się wydarzyło, i kazał mu przybyć i zająć się swoją małą siostrzyczką.

Z wymuszonym najpierw, a po chwili już naturalnym uśmiechem podeszła do brata i położyła mu rękę na ramieniu.

- Kogóż my tu widzimy? - rzekła.

Zayad obrócił się zaskoczony, co rzadko mu się zdarzało.

- Cześć, Jane - powiedział ciepłym tonem. - Pan Callahan był na tyle uprzejmy, że pozwolił mi obserwować sesję trenerską i pokazał mi kilka swoich ogierów. To zwierzę jest szczególnie piękne. - Objął siostrę i pocałował w policzek

- Brat powiedział mi, co zaszło między **wami**.

A więc Sakir wezwał go. Jeszcze jedna niespodzianka.

- Przepraszam, że nie było mnie w domu, ale obie z matką..

- Wiem - przerwał Zayad. - Sakir wygłupił się.

Bobby zeskoczył z konia i podszedł do nich.

- Kto się wygłupił? - zapytał.

- Mam na myśli naszego brata - odparł Zayad unosząc głowę, jak gdyby on tylko miał prawo wypowiadać się na ten temat.

Jane, stojąc z opuszczoną głową przy zagrodzie, rzekła:

- On się nie wygłupił. Po prostu jest opiekuńczy - i trzeba przyznać, że wyraża to w sposób dość irytujący.

- Ma powody, by wzmagać opiekę?

Uniosła głowę. Zayad patrzył na nią, po czym, z jedną brwią uniesioną, spojrział na Bobby'ego.

Ten zacisnął usta ze złością i rzekł:

- Twoja siostra jest samodzielna.

Zayad skinął głową.

- Tak - przyznał. - Wywodzi się w końcu z rodu Al-Nay-halów.

- To prawda - zgodził się Bobby.

Jane poczuła ogromny ciężar na sercu i duszy. Widocznie Bobby wolał w ten sposób uciąć rozmowę. Tak czy owak, gdy tylko przypominała sobie ostrzeżenie Sakira dotyczące uczuć Bobby'ego wobec niej, ogarniało ją przerażenie.

- Sophie jest w mieście, w restauracji „Willow Tree” - dotarły do niej jak przez mgłę słowa Zayada. - Zapraszam cię tam na późny lunch. Rzecz jasna również Tarę, jeśli jest wolna.

- Mama jest teraz ze swoim przyjacielem - powiedziała Jane wyobrażając sobie Tarę, która siedzi przy stole w kuchni i słucha Abła czytającego jej kolejny rozdział *Don Kichota*. - I chyba nie będzie miała ochoty pojechać.

Zayad skinął głową ze zrozumieniem i przeniósł wzrok na Bobby'ego.

- Byłbyś łaskaw przyłączyć się do nas? - zapytał.

- Raczej nie - odparł Bobby ze stoickim spokojem.

- Byłoby cudownie! - wykrzyknęła niemal Jane. Po czym, zwracając się do Bobby'ego: - Przyjdź do nas, Bobby. Sophie to moja najlepsza przyjaciółka. Jest świetnym prawnikiem, jest piękna i jest w ciąży. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz. - A jak będziesz miał szczęście, to opowie ci, jak poznali się z Zayadem w Kalifornii; mieszkał z nami drzwi w drzwi i udawał, że jest zwykłym facetem. Naprawdę śmieszna historia.

Zayad pospieszył z wyjaśnieniem:

- To dla mnie niezbyt miły okres. Ale właśnie wtedy otrzymałem wielki dar od losu. Moją żonę, matkę mojego syna Redeta i przyszłą matkę naszych dzieci.

- Jak widać, oszustwo popłaca - powiedział Bobby, a w jego głosie zabrzmiała zła nuta..

Zayad obrócił się ku niemu.

- Słucham?

Wiał lekki wiatr - ani zimny, ani gorący, a w powietrzu unosił się zapach dojrzałego siana.

- Twoją rodzinę cechuje skłonność do nieuczciwych zysków, to wszystko.

- Bobby! - krzyknęła Jane, zaszokowana jego słowami. Ale nic więcej nie mogła dodać, bo pałeczkę przejął Zayad:

- Nie śmieć obrażać rodziny Al-Nayhałów! - ostrzegł.

- Śmiem - odparł Bobby.

Dwaj mężczyźni obrzucili się groźnym spojrzeniem. Obaj wysocy, dobrze zbudowani, obaj zaciętrzewieni.

- Bobby - zaczęła Jane z wahaniem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, czy co zrobić, aby wyjaśnić sytuację. Przyszło jej nawet na myśl, czy solidny kuksaniec nie byłby najbardziej odpowiedni, bo tak była na niego zła, że chyba mogłaby mu go zafundować.

Lecz za mało było czasu i na słowa, i na czyny.

- Mam robotę - oznajmił, odwrócił się, poprowadził ogiera w drugi koniec zagrody, rzuciwszy przez ramię:

- Miłego lunchu.

Jane wiedziała, co brat chciałby jej powiedzieć i nie miała mu tego za złe. Gdy Zayad dotknął jej ramienia, spojrzała mu w oczy.

- Jane - zaczął. - Wolałbym tego nie mówić, ale chyba Sa-kir ma rację.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Ty nic nie rozumiesz, Zayad. Bobby ciężko to przeżył. Stracił majątek, ojca, siostrę. Obarcza naszą rodzinę odpowiedzialnością za własny upadek.

- Tak, zgadza się. A ty, moja droga, znajdziesz się między młotem a kowadłem.

- Nie sędzę - powiedziała Jane głosem niezbyt pewnym.

- Ale nawet jeśli, to wybór należy do mnie.

Zayad skinął głową.

- W tej kwestii jesteśmy zgodni.

- Chcę mu pomóc.

- Tak bardzo go kochasz?

- Tak.

- Zaczekaj na mnie w samochodzie. - Uśmiechnęła się do Zayada i poszła za Bobbym. Ten zatrzymał się w drugim końcu zagrody - przesunął dłoń po boku konia, jakby zgarniając kurz z jego sierści. Nie traciła czasu. Zapytała z wściekłością:

- O co chodzi?

Nie patrzył na nią.

- Dość tego.

- Czego? Zayad nic ci nie zrobił.

- Chodzi o postawę, Jane - zaczął patrzeć w jej zielone oczy, zawsze pełne gniewu, gdy mowa była o przeszłości. - Przekonanie, że ci, co kłamią i oszukują, mają szczęście w życiu. Jeśli ktoś chce kogoś oszukać... - urwał, spuścił wzrok.

- Słucham? - zapytała stropiona. Chciała rozpaczliwie zrozumieć go, pomóc mu. Żeby tylko pozwolił jej na to. Gdyby mogła dotrzeć do prawdziwego Bobby'ego, tego, który się o nią troszczył, a nie tego, który chciał zniszczyć jej rodzinę, to może byłaby szansa...

- Powinni dostać po uszach. - Bobby zacisnął pięści. - Zapłacić za krzywdę, jaką wyrządzili.

- Gdy Zayad przyjechał do Kalifornii - zaczęła Jane - chciał przede wszystkim dowiedzieć się, kim ja jestem. Wiedział, że oszukiwanie nas, podawanie się za kogoś innego jest niemoralne, i poprosił Sophie i mnie o wybaczenie. To więcej niż spłata długu.

- Nie interesują mnie szczegóły - oświadczył Bobby ponurym głosem.

- Rozumiem, ale skoro wydajesz opinię...

- Słuszną, Jane - powiedział obracając się ku niej i mierząc ją przenikliwym spojrzeniem. - A kłamstwo jest kłamstwem.

- Świat nie jest czarno-biały - zauważyła Jane sarkastycznie.

- Dla mnie jest.

Spojrzała na niego, serce jej zaczęło mocno bić. Była pod wrażeniem jego umiłowania prawdy, ale gorycz w jego oczach zaniepokoiła ją.

- Najwyraźniej tkwimy w jakimś impasie - rzekła, czując niemal fizycznie, jak ogarnia ją przygnębienie. - No, na mnie pora.

Odwróciła się, ale on chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Przez chwilę nie puszczał jej - czuła jego oddech na twarzy. Zamknęła oczy, wtuliła się w niego.

- Kochanie?

Chłód w sercu Jane przemienił się w ciepło.

- Tak?

- Przykro mi.

- Wiem.

- Wróc po tym spotkaniu z najlepszą przyjaciółką. - Pochylił się, musnął ustami jej usta. - Jestem cholerny idiota, ale potrzebuję cię, Jane. Bardzo.

Miłość, jaką do niego czuła, pozbawiła ją sił. Niech ją przytula, niech ją całuje. Niech pragnie jej ciała.

- Wrócę - przyrzekła.

Speszona, zdezorientowana oderwała się od niego. **Droga** od zagrody do podjazdu, gdzie w czarnym lśniącym mercedesie czekał na nią mężczyzna, była najdłuższą i najbardziej samotną drogą w jej życiu.

- Mogę to powtórzyć?

Jane roześmiała się do swojej najlepszej przyjaciółki, gdy po późnym lunchu szły aleją w stronę domu. Dzień miał się już ku końcowi, ale słońce przenikające przez gałęzie drzew wciąż mocno grzało.

- No dobrze. Skoro musisz, powtórz to jeszcze raz.

Z dramatycznym westchnieniem Sophie położyła dłoń na swoim coraz większym brzuchu i rzekła z melancholią:

- Tęsknię do ciebie, tapioko.

Jane roześmiała się i ten śmiech zabrzmiał jej w uszach jak muzyka. Odkąd dowiedziała się, że mężczyzna mieszkający obok nich jest nie tylko sułtanem z obcego kraju, ale również jej bratem, chodziła jak w chmurach. Tęskniła do kogoś z lat dziecińczych. I teraz czuła się tak, jakby nagle świat stanął przed nią otworem, co nigdy nie mogło się stać w Emandii - ani w domu Sakira.

- To w Emandii nie ma puddingu? - zapytała Jane.



- Oczywiście że jest - odparła Sophie i zaczęła wyliczać na palcach. - Mango, czekoladowy, orzechowy, ale gdy idzie o tapiokę... - zamilkła i oblizła się.

- Coś trzeba na to poradzić - orzekła Jane, mrugnawszy do niej łobuzersko. - Ale najpierw coś pożywnego.

- Dziękuję ci w imieniu dziecka - oświadczyła Sophie z uśmiechem, ściskając Jane za ramię. - Chyba jednak przedtem chciałaś mi coś powiedzieć, prawda?

- Tak - przyznała Jane z radosnym uśmiechem. - Jestem z Bobbym Callahanem.

- Dotarły do mnie te wieści. Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Nie, nie jestem pewna. - Czuła się trochę tak, jakby bała się wyznać Sophie prawdę. - Ale kocham go.

- A to odbiera ludziom zdrowy rozsądek. Wiem to z własnego doświadczenia.

- To naprawdę dobry człowiek, Sophie. Kochający, miły, pełen seksu i... no tak, czuję się przy nim potrzebna, upragniona. Nigdy tak się z nikim nie czułam. Chcę być jego drugą połówką, dzielić z nim życie... jeśli tego zechce.

- Naprawdę? Mogłabyś mieszkać w Teksasie? Nie w Emantidii, ze swoją najlepszą przyjaciółką?

- Tarze rzeczywiście zaczyna się tu podobać, no i... - Jane zaczerwieniła się - to cudowne miejsce na miesiąc miodowy.

Sophie zatrzymała się nagle przed lodziarnią. Nie widząc jakby tłumów ludzi wchodzących tam i wychodzących z lodami, zapytała całkiem poważnie:

- Myślisz, że on ci się oświadczy?

- Naprawdę nie wiem - odparła Jane. - Marzę o tym, ale to sprawy nie przesądza. Bobby'emu zależy na mnie, wiem o tym. Ale on ma tyle spraw na głowie, z tyloma decyzjami musi się uporać... Sakir i Zayad są zdania, że stałby się cud, gdybyśmy z Bobbym w końcu się pobrali.

Wśród dobrych przyjaciół następuje taka chwila, gdy jedna ze stron potrzebuje od drugiej słowa wsparcia, gdy potrzebna jest jej świadomość, że ta druga osoba darzy ją zaufaniem. Taka chwila między Sophie a Jane właśnie nadeszła i jak zawsze Sophie nie zawiodła przyjaciółki.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają, Jane, i czemu dają posłuch. Ja chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli kochasz tego mężczyznę, to o niego walcz.

Twarz Jane rozjaśniła radość, skinęła głową.

- A teraz powiem ci jedno - ciągnęła Sophie z uśmiechem.  
- Że jeśli Bobby Callahan zrobi ci krzywdę, to Sakir i Zayad dobiorą mu się do skóry, możesz być pewna.

Jane nie mogła się powstrzymać - wybuchnęła śmiechem.

- Chodźmy po te lody - rzekła Sophie, kierując się ku budce. - Jeśli to moje małe nie dostanie tego smakołyku, będzie mnie kopać aż do skutku.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dni poprzedzające Wielki Dzień Dayi toczyły się jeden po drugim jak odłamki skał. W piątek Jane stwierdziła, że chyba głowa jej pęknie od tych wszystkich informacji, rad, porad, jakie atakowały jej mózg. Ledwo trzymała się na nogach od ciągłego dreptania, miała szczerze dość doglądania potraw, dyskusji oraz sprzeczek z dekoratorką imprezy. Wyglądało na to, że przyjęcie się uda, i Jane, choć zmęczona, rada była ze swoich dokonań.

Jej stosunki z Sakirem były dość chłodne. Zastanawiała się czasem, czy w ogóle mają sobie coś do powiedzenia, może tylko tyle, by omówić pewne sprawy, bo przecież pracowała u niego w domu prawie codziennie. Tyle tylko, że Sakir większość czasu przebywał w biurze, a gdy się z niego wynurzał, to mijając się z nią, rzucał krótkie „cześć”. Choć była pochłonięta szykowaniem przyjęcia, brak jej było rozmów z bratem, jego swoistego poczucia humoru.

Gdy na dobę przed imprezą opuściła jego dom, zastanowiła się w duchu, czy kiedyś znów zostaną przyjaciółmi i czy jak dawniej będzie się czuła w jego domu jak u siebie.

Przekraczając bramę rancza, uśmiechnęła się. Musiała

przynależać, że teraz dom Sakira był dla niej tylko domem, jaki się odwiedza. Tak to czuła, odkąd zamieszkała u Bobby'ego. Dokładnie mówiąc od chwili, kiedy zobaczyła nagle światła w otwartych na oścież oknach.

Była jeszcze chata, i to dość okazała. Przed trzema dniami, gdy Tara i Abel wrócili po tej swojej nocy pod gwiazdami, a na ich twarzach malowało się bezmierne szczęście, dokonano milczącej umowy: do Tary i Abła należy chata, do Jane i Bobby'ego - dom. Czasami obie pary spożywały posiłki razem, czasami oddzielnie. Było przyjemnie, miło, i Jane nigdy nie widziała matki tak szczęśliwej.

Wchodząc do domu zapytała:

- Czyżby zapach pizzy?
- Zgadza się.

A to, co ujrzała, było jak sen. Bobby, wyraźnie zadowolony z siebie, stał obok kanapy, wysoki, smukły, emanujący seksapilem, w dżinsach i jasnozielonej koszuli, i radosny uśmiech rozjaśniał mu twarz. A przed nim, na stoliku do kawy stał talerz z pizzą, obok - butelka wina.

- Och, kocham cię, skarbie - rzekła, unosząc nieśmiało wzrok.

Bobby uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wiesz, co chcę przez to powiedzieć - powiedziała, siląc się na obojętny ton.

- Nie, nie wiem. Co?

Przeszła obok stołu i położyła swoje rzeczy na podłodze.

- Głodna kobieta nic nie mówi. Jest mentalnie zablokowana. Odblokuje ją tylko pożywienie.

- Tylko?

Uśmiechnęła się, gdy zbliżał się do niej, po czym wzięła ją za rękę.

- Nie powiedziałam, jakiego rodzaju głód mi doskwiera.

- Owszem, powiedziałaś, kochanie. Oczami. - Doprowadził ją do kanapy, posadził. - Naprawdę nic nie jadłaś przez cały dzień?

- Około dziesiątej parę orzeszków.

- Żałosne.

- Pożywienie organiczne.

Zachichotał, otworzył pudło z pizzą i położył kawałek na jej talerzu.

- Proszę. - Podał jej talerz, nalał wina do szklanki.

- Uważaj, Callahan - rzekła, zajądając z apetytem.

- Na co?

- Bo mogę się przyzwyczaić.

Podał jej z uśmiechem szklankę.

- Wypij.

Delikatny zapach i smak merlota sprawiły, że szybko się uporała z trunkiem. Odprężona, szczęśliwa oparła się wygodnie na poduszkach i przyglądała się rosnącemu kowbojowi.

- Chcę cię o coś zapytać - zaczęła - i obiecaj mi, że zastanowisz się, zanim przestaniesz nad sobą panować.

- Ja zawsze nad sobą panuję.

- W tym wypadku nic nie wiadomo.

- Chcesz, żebym uczył jednego z twoich braci jazdy konnej? - zapytał, a w oczach zapaliły mu się radosne iskierki.

- Chodzi mi o czynność znacznie prostsza. Przyjdź jutro wieczór na przyjęcie.

- Nie - uciał Bobby I uśmiechnął się. - Uważaj, bo nie za panuję nad sobą.

- Nawet się nie zastanowiłeś.
- Daj spokój, Jane - rzekł, nakładając sobie kolejny kawałek pizzy. - Nie dodawaj sobie stresu.
- Nie dodaję. - Usiłowała się uśmiechnąć, nie dać się złemu nastrojowi. - Bądź tam ze mną - powiedziała. - Potrzebuję twojego wsparcia.

Westchnął.

- Będziesz miał desery do wyboru do koloru - kusiła go, znając jego gust.

- Nawet gdybym się zgodził, nie byłbym tam mile widziany.
- Będziesz moim gościem - powiedziała Jane, stawiając z powrotem talerz na stoliku i przysuwając się do niego. - Wystarczy, mam nadzieję.

Spojrzał na nią. Nie potrafił odgadnąć jej myśli. Ale gdy uśmiech pojawił się na jej ustach, powiedział:

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

Pocałowała go.

- Pod każdym - rzekła.

Wziął z jej rąk szklanekę wina, postawił na stole, objął ją i powiedział:

- Dziś na deser będą gwiazdy.

Nic już nie była w stanie powiedzieć.

Perłowszary brzask za oknem sypialni sygnalizował świtanie, przed którym oboje odczuwali lęk. Aż do tej pory Bobby nie wiedział, kiedy nastąpi ten dzień - dzień zapłaty, dzień, w którym zniszczy tę kobietę leżącą obok, ale skoro poprosiła go o wsparcie - miał już tę świadomość.

Leżeli przytuleni do siebie, a on czuł zarazem lęk i radość.

Był potworem.

Rozumował na zimno, bez krzty uczucia, wiedząc, że dobrze do jej serca i wykona swój plan.

Winien jest to swemu ojcu. Ostatni akt w tej grze. Wtedy będzie wolny, odzyska szeroki oddech, wyzbędzie się gniewu, jaki go niewolił.

- Już świta - powiedziała Jane szeptem, z ustami przy jego piersi.

- Tak. - Pocałował czubek jej głowy. To ich ostatnie chwile. Ciepło jej ciała, zapach. - Śpij, kochanie.

Zapadła cisza, myślał, że zasnęła, ale usłyszał jej szept:

- Bobby?

-Tak?

- Ja naprawdę cię kocham.

Cały zamarł. Poczul w całym ciele przeszywający go ból. Dlaczego jej nie odepchnął, zanim wypowiedziała te słowa?

Leżał, słuchał jej oddechu, jak powoli znowu zapada w sen. A on myślał tylko o tym, żeby chwycić ją i uciec razem gdzieś daleko.

Popatrzył na sufit, na światło poranka, którego szarość przemieniała się w złoto. Po raz ostatni trzymał Jane w objęciach, po raz ostatni mówiła mu, że go kocha. Myśl o tym bardzo go zabolowała.

Aż trudno mu było w to uwierzyć.

Od tamtej szalonej nocy u Turnboltów po dziś dzień... To działa się naprawdę. Nigdy nie przypuszczał, jak bardzo będzie cierpiał na myśl, że ją straci.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Piękna”. „Elegencka”. „Zachwycająca”. „Wspaniała”.

Takie słowa słyszała Jane, gdy szła po starym ormiańskim dywanie w przestronnym salonie Al-Nayhalów.

Kryształowe kandelabry oświetlały półcieniem posągi z brązu włoskiej i hiszpańskiej szkoły, a piękny portret Dayi i Rity przyciągał wzrok zebranych gości.

Młody mężczyzna podał jej z uśmiechem kieliszek wina. Wzięła. Podziękowała mu. Obsługa była bezbłędna. Poruszyli się jak duchy, serwując drinki. Nie zapominali też o dzieciach, choć maluchy miały własne przyjęcie w jednym z rogów sali. Przewidując potrzeby małych gości, Jane urządziła im prawdziwy raj z zabawkami, łącznie z meblami w miniatu-  
turze.

Ogarnęła wzrokiem stół w sali obok, przystrojony kwiatami, świecami wśród półmisków z wykwintnym jadłem, spojrzała na tłum ludzi i uśmiechnęła się. Przyjęcie było sukcesem. Jej sukcesem.

Marzenie o własnej restauracji stale jej towarzyszyło, stale tkwiło w jej myślach. Tylko że odkąd Zayad ujawnił jej tożsamość, marzeniom tym trudno było przebić się przez tę mgłę niepewności, jaką w nią wpoił. Teraz jednak ni stąd, ni



zowad tę pewność siebie odzyskała. Ponownie sięgnęła do przyszłości. Tylko pytanie: gdzież ona zrealizuje swoje marzenia? Gdzie otworzy tę restaurację?

Rzuciła okiem na podjazd i zacisnęła usta. Bobby musiał tu być od przeszło godziny. Dzwoniła na ranczo, ale nikt nie podniósł słuchawki. On nie zaliczał się do facetów, którzy przeczą własnym słowom, toteż nie sądziła, by uczynił to teraz.

Rita, wyglądająca pięknie w jasnoniebieskiej sukni, szła ku niej z dzieckiem na ręku. Towarzysząca jej młoda kobieta była chyba jej siostrą.

- Jane, chcę ci przedstawić moją siostrę Awę.

- Miło mi - rzekła Jane, wymieniając z blondynką uścisk dłoni.

- Mnie również - powiedziała Ava ciepło. - Tyle o pani słyszałam.

Rita, uśmiechnąwszy się czule do siostry, mówiła dalej:

- Ava przyjechała z mężem, jego matką Muną i moją siostrzenicą Lily, ale wszyscy poszli do ogrodu. Poznasz ich później. A teraz - rzekła z nutą radości w głosie - Daya da cioci całusa.

Daya mocno spała, toteż Jane pochyliła się nad dziewczynką i dotknęła kciukiem jej gładkiego policzka.

Niebieskie oczy Rity błyszczały radością.

- Jest cudownie! Sakir też jest szczęśliwy! Myślę, że sam ci to powie.

Tego wieczoru zdarzyło się tyle wspaniałych rzeczy, myślała, a ona nie mogła podzielić się z Bobbym swoimi wrażeniami. Wróciła myślami do dzisiejszego poranka i przy-

pomniła sobie jego zły nastrój. Był raczej milczący. Gdy całowała go na pożegnanie, zauważyła malujące się na jego twarzy napięcie.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach - sięgnęła do torebki po komórkę. Ale słowa Rity i jej uśmiech powstrzymały ją:

- Ktoś tu na ciebie czeka, Jane.

Spojrzała w stronę drzwi i poczuła ulgę i wielką radość... Przeszedł.

Ubrany jak na półoficjalną imprezę - w czarne dżinsy i białą koszulę, wyglądał czarująco, choć był z lekka spięty. Ale nic dziwnego, każdy gość Sakira Al-Nayhala tak się najpierw czuje.

Poprawiając swoją suknię koloru jasnego złota, Jane przesłała mu uroczy uśmiech. Czuła na sobie wzrok Sakira i Zayada, ale mało ją to obchodziło. Myśli jej pochłaniało to, co opowie Bobby'emu o swoim sukcesie tego wieczoru, jak bardzo umocniło to w niej pewność siebie, jak zrozumiała wreszcie sens własnej kariery.

Bobby podszedł prosto do niej, nie zwracając uwagi na stojące obok Ritę, Avę czy Marię.

- Świetnie dziś wyglądasz - powiedziała Jane wyciągając do niego rękę. - Dzięki, że przyszedłeś.

Lecz on nie ujął jej dłoni - i miał jakieś dziwne oczy, puście, jak martwe.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekł.

Zadrzała, słysząc ten jego zimny, obojętny ton.

- Słucham.

Panie wokół niej **wstrzymały oddech, a serce Jane zaczę-**

ło walić jak szalone, kładąc jakby tamę jej poczuciu sukcesu, jakiego doznawała przed chwilą.

- Te parę tygodni to była pomyłka - rzekł Bobby ostro. - Pragnąłem cię, zdobyłem i na tym koniec.

Ktoś podał jej ramię, ktoś inny objął ją, ale Jane była w szoku, nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Przyszedłem, Jane, żeby ci powiedzieć, że nie chcę cię już.

Skrzyżowali spojrzenia, i Jane nakazała sobie spokój.

- Czyżby? - zapytała.

Skinał głową.

- Nie mogłem cię pokochać.

- Aha - wykrztusiła Jane, uświadamiając sobie w jednej chwili, co się stało, i zastanawiając się zarazem, jak mogło się to stać.

- Lepiej będzie, jeśli pan sobie stąd pójdzie - rzekła Rita lodowatym tonem.

Bobby skinął głową, ale nie w stronę Rity - w stronę Jane. I przez ułamek sekundy dziewczyna gotowa była przysiąc, iż ujrzała w jego oczach przeblask żalu, cień smutku.

Taki był Bobby Callahan.

Gniew, obcy jej naturze, zmroził ją, gdy patrzyła, jak Bobby wychodzi. Rita, Ava i Sophie starały się ją pocieszyć, wyrażając swoją pogardę. Ale Jane nie słuchała ich wywodów. Nie odrywała spojrzenia od stojących nieopodal Sakira i Zayada. Zayad twarz miał zaciętą, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Sakir ze smutkiem w oczach patrzył na Jane.

Ruszyła w stronę Bobby'ego. Skoro on istotnie nie chce jej,

trudno. Ale tu nie o to chodzi, i ona, Jane, chce odkryć przed nim prawdę, zanim odejdzie, wycofa się...

- Jane! - usłyszała głos Sakira, gdy otwierała już drzwi wejściowe.

- Nie mam teraz czasu!

-Przepraszam...

Obróciła się. Ogarnęła ją złość na Bobby'ego za tę całą głupią, bezsensowną sytuację.

- Za co mnie przepraszasz? Że nie potrafiłeś rzucić mi w twarz, że Bobby mnie nie chce? Że wypędzasz mnie ze swego życia, gdy zdążyłam już przywyknąć, że mam brata?

Obserwowała jego twarz, jak reaguje na jej słowa, jak błędnie, zaciska wargi.

- Nie wiedziałem, że poczujesz się dotknięta - oznajmił.

- To teraz wiesz - rzekła, czując chłodny powiew wiatru na swojej rozpalonej twarzy. - Co za różnica?!

Skoro milczał, odwróciła się i zbiegła ze schodów, kierując się do swojego wypożyczonego auta.

- Jane, poczekaj!

Biegł za nią.

Westchnęła, spojrzała nań przez ramię.

- Słucham?

Jego zielone oczy wyrażały zatroskanie, ból...

- Dokąd idziesz? - zapytał Sakir.

- Pozwól pewnemu głupiemu człowiekowi rozprawić się z przeszłością. Może, kiedy mnie tu nie będzie, upora się ze sobą.

Odeszła, a Sakir stał z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Nie było siły, która wymazałaby słowa, jakie wypowiedział do Jane. Czy też zmieniłaby wyraz jej twarzy, gdy te słowa wypowiadał. Toteż Bobby cierpiał. Bolało go wszystko - dusza i ciało.

Siedział na wiązce pachnącego siana w stodole i zastanawiał się, kiedy po spełnieniu przysięgi dozna ulgi, spadnie mu kamień z serca.

Jutro? Za tydzień? Za rok?

A może utrata kobiety, która tyle dla niego znaczyła, ukoi ból po stracie ojca i siostry?

- No i jak, podziałało?

Speszony z lekka uniósł wzrok i zobaczył anioła odzianego w jasnozłoty strój, ciemne włosy opadały jej na ramiona, w oczach płonęła namiętność.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Przestań, Bobby. O twoim planie odzyskania do siebie szacunku poprzez małą zemstę.

- Po co tu przyszedłeś?

Zignorowała to pytanie i zrobiła parę kroków do przodu

- Powiedz mi, że teraz jesteś szczęśliwy.

Zaklął, stracił ten cały swój stoicyzm.

- Nie planowałem, że będę szczęśliwy, kochanie. Nigdy nie będę szczęśliwy. Ale co do jednego masz rację. Rujnując rodzinę twego brata, uratowałem honor mojej.

Jane spojrzała na niego spod oka.

- Nie skrzywdziłeś mojej rodziny - rzekła. - Skrzywdziłeś mnie. W sposób bezwzględny, okrutny. Moja rodzina natomiast ma się dobrze.

- Również ty i Sakir? - zapytał.

- Może nie dziś ani nie jutro, ale uporamy się z tym i wybaczę mu, że tak się wygłupił.

Wybaczy mu, ale Bobby'emu - nigdy. Zatem Al-Nayhal znowu będzie miał wszystko. Ziemię, majątek i dziewczynę, obiekt marzeń Bobby'ego.

- A więc kłamstwa, oszustwa i wszystko dla Al-Nayhalów dobrze się kończy! - wysapał. - Tak należy działać!

- Nie mów mi o kłamstwach, Callahan - odpaliła z gniewem. - Co mówiłeś kiedyś? Że za oszustwo powinno się język obcinać. A jak powinno się karać za ludzką krzywdę?

Zerwał się, podszedł do niej.

- Moja wina! Uderz mnie!

- Nie kuś.

Stali blisko siebie, oboje rozpaleni. Chciał wziąć ją w ramiona, kochać się z nią, by oboje zapomnieli o tym wszystkim, co sobie dziś powiedzieli. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Patrzyła na niego tymi swoimi ogromnymi zielonymi oczami.

- Chcę, żebyś poznał prawdę, zmierzył się z własną przeszłością, pokonał te demony, które cię dręczą, i wyszedł na prostą.

- To stało się dziś wieczór.

- Nie, dziś wieczór zachowywałeś się jak dziecko. Mężczyzna to taki ktoś, kto dąży do tego, czego chce, i przepędza tych, którzy proszą go, by tego zaniechał.

Zamurowało go. Nikt nigdy czegoś takiego mu nie powiedział - nie nazwał go dzieckiem. Krew w nim zawrzała,

a w głowie czuł pustkę. Nie był dzieckiem. Był mężczyzną, który spełnia przyrzeczenia, i to wszystko.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś mi powiedzieć, Jane?  
- zapytał, nadając głosowi lodowaty ton.

Dostrzegł drżenie jej ust, łzy w jej oczach - uniosła głowę, jak gdyby chcąc cofnąć te łzy. Gdy ponownie uchwycił jej wzrok, powiedziała ciepło i całkiem zwyczajnie:

- Kocham cię, Bobby. Może jestem głupia, że ci to mówię, że próbuję znowu...

Słowa te i czułość, jaką wyczuł w jej głosie, trafiły go w samo serce, przebiły właściwy mu chłód, ale to, co nastąpiło potem, chłód ów przywróciło, a nawet wzbudziło w nim gniew.

- Chcę, żebyśmy byli rodziną.

Wspomnienia przywołały w nim ojca, siostrę oraz walkę, jaką Bobby toczył przez te lata z Sakirem Al-Nayhalem, i poczuł, że twarz wykrzywia mu wściekłość.

Członek rodziny Al-Nayhalów!

Zacisnął zęby i wyszczał:

- Pierwej umrę!

Patrzył, jak cała krew odpływa z twarzy Jane, jakby życie z niej uchodziło. Ręce jej drżały, oczy znowu były pełne łez.

- Jeśli chcesz, odejdę naprawdę, nie wrócę.

Siła tych słów powaliła Bobby'ego. W tym momencie czuł tylko nienawiść do jej brata, nie miłość do niej, którą miał w sercu.

- Do widzenia, Jane.

Skinęła głową, a łzy spływały jej po policzkach.

- Spakuję się i już mnie nie zobaczysz - rzekła.

Odwróciła się i odeszła.

Został sam.

Znowu.

Wwiercający się w uszy hałas. Samolot szykował się do odlotu. Jane, z otwartą książką na kolanach, wyglądała przez okno i marzyła o tym, by już być w Emandii. Długi lot - i tylko refleksja o tym, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, o czym była mowa na przyjęciu i w stodole u Bobby'ego. Nie miała też z kim rozmawiać, by rozproszyć smutne myśli. Sophie i Zayad mieli jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, ale zaproponowali Jane swój samolot, rozumiejąc jej chęć jak najszybszego opuszczenia tego miejsca. Matka Jane ofiarowała się, że z nią poleci, ale córka wiedziała, że Tara jest w Ablu zakochana i chce z nim zostać. Oznajmiła matce, że zaraz po przyjeździe do Emandii zadzwoni do niej i obie zdecydują, co dalej. Sakir ze swej strony próbował przemówić Jane do rozsądku, namawiając ją, że póki nie do końca wie, czego chce, niech zostanie u niego.

Ale Jane podjęła już decyzję. Potrzebny jest jej teraz dystans do tego, co się wydarzyło między nią a Bobbym. Nic się między nimi nie skończy, ale dzielące ich tysiące mil, pustynie i oceany, pozwolą im wiele zrozumieć, wiele przemyśleć.

Zamknęła oczy. Cierpiała. Bolały ją jego słowa, jego spojrzenia. Tak, prędzej umrze, niż zwiąże się z nią na zawsze. Nie chce mieć nic wspólnego z jej rodziną. A więc i z nią.

Wiedziała, że tak jest.

Ale...

Wiedziała, że on ją kocha, i to było najgorsze, najbardziej



bolało. Bobby Callahan kochał ją, ale odtrącał - z powodu jej rodziny.

Zrodziło się w niej podejrzenie, że on jej w ogóle nie zna.

Samolot oderwał się od ziemi.

Od Paradise w Teksasie.

scandalous

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Masz jakieś życzenie przed śmiercią, Al-Nayhal?

Działo się to tydzień po wyjeździe Jane, kiedy to Bobby, z widłami w dłoni, stanął w obliczu dokonania zemsty, uczynienia zadość zobowiązaniom, jakie miał wobec swego ojca. Po tym akcie, myślał, poczuje się nareszcie lepiej, spokojniej. Na razie przepełniał go gniew, od którego wyzwoliłby go jakiś gwałtowny czyn albo, co bardziej prawdopodobne, cios pięścią w uśmiechającego się arogancko człowieka w białym kaftanie.

Czując się zdecydowanie nie na miejscu w pełnej kurzu stodole rancza, Sakir uniósł głowę do góry.

- Nie rzucaj groźbami, których zapewne nie zrealizujesz!  
- powiedział.

Bobby wetknął widły w kupę siana.

- Zrealizuję, spokojna głowa.

Sakir spojrział na tę niby broń, jak na coś w rodzaju zapalki.

- Lubię wprawdzie opowieści o białej broni, ale mam ważniejsze sprawy, które trzeba omówić.

Widok tego człowieka, poza wzburzeniem, przywołał w nim myśli o Jane.

- No to mów szybko, bo mam jeszcze sporo roboty.

- Przyniosłem ci to.

Bobby spojrział na plik papierów, jakie Al-Nayhal mu podsuwał.

- Co to takiego? Coś, co zmusi mnie do opuszczenia tej ziemi?

Wyglądało na to, że Sakir próbował zabawić się kosztem jego cierpliwości.

- Coś, co pomoże ci zapomnieć, dlaczego straciłeś tę ziemię.

Bobby poczuł ogromny ciężar na sercu.

- O czym, do diabła, ty mówisz? Ja wiem, dlaczego to się stało.

- Znasz tylko połowę prawdy. - Wobec milczenia Bobby'ego, Sakir ciągnął unosząc do góry brwi: - Bierzesz to, czy nie?

Bobby mruknął coś pod nosem i chwycił dokumenty. Obrzucił je spojrzeniem. Pierwszy dokument - to oświadczenie towarzystwa przeprowadzającego wiercenia, które sknociło robotę na jego terenie i w którym zawile udowodniano prawidłowość swojego działania. Inne dokumenty pochodziły od pięciu agencji ochrony środowiska, w których ostrzegano ojca Bobby'ego przed niestabilnością gruntu, co może stanowić zagrożenie dla wszelkich jego poczynań, dotyczących hodowli koni i bydła oraz problemu melioracji.

Bobby spojrział na datę pierwszej i drugiej notatki i doznał przykrego uczucia. Sześć lat temu jego ojciec stracił majątek. A mimo to wciąż dawał zgodę na dokonywanie wierceń, wiedząc, czym wciąż może to grozić - doprowadzeniem do

ruiny nie tylko tej ziemi, ale i jego własnej rodziny. A potem zmusił Bobby'ego do powrotu i osiedlenia się, a także załatwienia sprawy, która już dawno powinna być załatwiona.

I tak się stało, że ojciec wmówił mu, że wszystkiemu winien jest Sakir Al-Nayhal Mało tego, wymógł na nim obietnicę, że Bobby dokona zemsty na tym człowieku.

Bobby zacisnął dłoń na tym pliku dokumentów. Jeśli to prawda, to ojciec Bobby'ego mógłby zachować swój majątek. Jeśli to prawda, to Kimmy i Bobby nie straciliby domu i oszczędziliby sobie upokorzenia...

- Słuchaj, Callahan, ja... - zaczął Sakir, ale Bobby przerwał mu, nie mogąc uwierzyć, że jego ojca stać było na coś takiego.

- To nie może być prawda!

Ojciec Bobby'ego był uczciwym człowiekiem, dobrym ranczerem, szanowanym członkiem społeczeństwa.

- Sprawdź to sam - rzekł Sakir pewnym siebie tonem. - Wszystkie biura hrabstwa i stanu mają na to dokumenty.

Bobby był wściekły - na swego ojca, na Sakira, na siebie, nawet na Jane. Ale postarał się o spokojny ton, gdy zaczął mówić:

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to dlaczego trzymałeś to w tajemnicy? Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym? Przez tyle lat nienawidziłem cię...

- Ja też kochałem mojego ojca. Nie chciałem słuchać o jego błędach. Lepiej, że nienawidziłeś mnie niż swego ojca.

Bobby nie wierzył własnym uszom. Sakir Al-Nayhal był porządnym człowiekiem! A on przez tyle lat nim gardził!

- Dlaczego teraz mi o tym mówisz? Po tylu latach? - zapytał Bobby.

- No wiesz... Moja siostra, jej uczucia...

Jane! Jego ukochana Jane... Jej cierpienie, zawód, bo ojciec nie chciał przyznać się do błędów...

- Kocham moją siostrę, Callahan. A ona kocha ciebie. Nie chcę stawiać jej przed wyborem.

- Powiedziała, że jej noga nie postanie u mnie.

- Może to ty powinieneś do niej się udać?

Bobby uniósł głowę nagłym gestem.

- Do Emandii?

- Tak, teraz to jest jej kraj. Może dla was obojga znajdzie się tam miejsce?

W pałacowych ogrodach unosił się zapach róż i owoców cytrusowych - mieszanka, której moc winna wygasić niepokój Jane. Ani jednak zapach, ani barwy zachodzącego słońca nie złagodziły jej smutku. Przez prawie dwa tygodnie trwała w tym smutku - siedząc na ławce i popijając herbatę rozpałmiętywała swoje żale. Miała sobie za złe, że się poddaje, nie walczy z przygnębieniem, że tęskni do Bobby'ego, wierząc jakby, że coś dla niego znaczy.

Gdyby kierowała się rozsądkiem, wybiłaby go sobie z głowy i myślałaby o własnej przyszłości. W ubiegłym tygodniu sporządziła listę restauracji, zastanawiała się nad menu, a nawet nad urządzeniem wnętrza. Tylko gdzie te restauracje miałyby się znajdować - nie wiedziała.

- Cześć, kochanie.

Uniosła wzrok i zobaczyła zbliżających się do niej matkę

wraz z Ablem Garretem. Przyjechali parę dni temu. Jane nie zdziwiła się, gdy zobaczyła ich razem na lotnisku. Widać było ich wzajemną miłość, co córkę szczerze uradowało.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Jane - powiedział Abel z uśmiechem.

Jane też się uśmiechnęła.

- Dzięki, ale nie mam dziś głowy do prezentów.

Dzisiaj ani żadnego innego dnia, pomyślała.

- Ale ta ci się spodoba - oznajmiła Tara z przekonaniem i obejrzała się przez ramię.

Rozległ się niski męski głos, tłumiący wszystkie inne dźwięki.

- Powiedziałaś, że nie przyjedziesz do mnie, to ja przyjechałem do ciebie.

Serce przestało jej niemal bić, obróciła się. Idący ku niej mężczyzna miał na sobie dżinsy i jasnoniebieską koszulę, która opinała jego muskularny tors. Oczy jego wyrażały taki ogrom szczęścia, że Jane omal nie wybuchnęła płaczem.

Stał przed nią Bobby Callahan. Odetchnął głęboko, mierząc wzrokiem każdy fragment jej twarzy, zanim ich spojrzenia się spotkały.

- Pięknie wyglądasz - powiedział.

- Bobby...

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - nigdy nie zaznałem takich cierpień, ani moja dusza, ani moje ciało.

Wiedziała, jak to jest. Samotne noce i ciągnące się w nieskończoność dni, ból, którego nic nie uśmierza. Bobby zranił ją ponad miarę, i nieważne, jak bardzo go kocha, bo szybko mu tego nie wybaczy.

Jak gdyby wyczytał to z jej oczu - bo skinął głową, że rozumie.

- Nie zasługuję na ciebie - rzekł.

Jane zamrugała oczami, nogi się pod nią ugięły.

- Nie zasługuję - powtórzył - ale nie odejdę, bo cię kocham. Bezgranicznie. I muszę ci to powiedzieć. Musiałem tu przyjść i przeprosić cię za to, jak postąpiłem wobec ciebie i twojej rodziny. - Wyciągnął rękę, dotknął jej dłoni, patrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami. - Ale ty ciągle należysz do Paradise. Należymy oboje. Ty i ja.

- Ja nic o tym nie wiem - zastrzegła się. Poczowała ukłucie w sercu, łązy podeszły jej do oczu. - Boję się, Bobby. Dałam ci wszystko, miłość, zaufałam ci... z całego serca i duszy, a ty mnie odrzuciłeś. Jak mam ci znowu zaufać?

Miał w oczach cały ogrom bólu.

- Nie proszę cię, Jane, żebyś mi zaufała. Ale może potrafisz zaufać nam obojgu.

Łzy spływały jej po policzkach.

- Wysłuchaj mnie, kochanie - błagał, ujmując obie jej dłonie, błagał ją słowami, gestem, wzrokiem, błagał ją, żeby go wysłuchała. - Wstyd i poczucie winy - to naprawdę śmieszne. A właśnie to doprowadza cię do rozpacz. Robisz coś, o czym wiesz, że robić nie powinnaś. Krzywdzisz ludzi, których kochasz. Jeśli idzie o mnie, to przymykam oczy na słabości ojca, którego kochałem, i chciałbym wierzyć, że był bez zarzutu. Człowiek - a jestem tego pewny - przedkłada dobro rodziny nad swoje własne.

Ów bezmiar bólu w jego oczach sprawił, że serce jej się ścisnęło, a słowa uwieźły w gardle.

- Przysięgłem ojcu na łożu śmierci - ciągnął Bobby - bronić jego czci i zapłacić Al-Nayhalom za to, co nam uczynili. - Potrząsnął głową. - Nie znam całej prawdy. Nie wiem nawet, czy w istocie to uczynki mojego ojca doprowadziły naszą posiadłość do upadku. On sam chyba nawet tego nie wiedział. Był porządnym człowiekiem, Jane. Był opiekunem i dobroczyńcą mojej siostry Kimmy. Kiedy umarł, serce jej omal nie pękło. Moje zresztą też. Obwinałem Sakira o każdą stratę, jaką poniosłem. - Rzuciwszy przekleństwem, chwycił ją w ramiona. - Przepraszam. Byłem taki głupi. Skrzywdziłem cię, odtrąciłem po tym wszystkim... po miłości, jaką mnie obdarowałaś, ponownie obdarzyłaś, szczerze mówiąc. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi przykro.

- Owszem, mam pojęcie.

Rozpłakała się, a nawet rozszlochała, tuląc twarz do jego piersi.

- Wybaczysz mi, Jane? — zapytał. - Jesteś w stanie mi wybaczyć? Proszę cię, daj mi szansę. - Uniósł palcem jej podbródek i spojrzał w jej zaczerwienione oczy. - Chcę, byśmy byli rodziną, byśmy mieli dzieci. Chcę ciebie... - Starł kciukiem łzę z jej policzka. - Kocham cię.

Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni, choć zapłakana i zboląta, poczuła, że żyje, i to jej życie ma sens. Zrozumiała też sens przeszłości. Gdy zaczęła mówić, głos jej brzmiał jak dzwon obwieszczający dobrą nowinę:

- Kocham cię najbardziej na świecie i wiem, co ty czujesz.

Uśmiech rozpromienił mu twarz, uśmiech szczęścia, i czułość i radość wypełniły jej serce.

- Wyjdź za mnie, Jane - powiedział, skłaniając głowę, by



ją pocałować. - Wyjdź za mnie i codziennie mnie ucz, jak być lepszym człowiekiem.

Słowa te poruszyły ją, wzruszyły, poczuła się bezpieczna i kochana. A serce Bobby'ego, tak bardzo zranione w przeszłości, otworzyło się na tę miłość. Przyszłość rysowała mu się w radosnych barwach, a dziewczynę, która była częścią tej przyszłości, trzymał w ramionach - jego usta tuż przy jej ustach.

- Tak - szepnęła, a słońce chyliło się już ku zachodowi. - I wzajemnie będziemy się uczyli sztuki godnego życia.

scandalolub

## EPILOG

*Pół roku później*

- Czy chcesz pojąć tego mężczyznę za małżonka?

Jane wstrzymała oddech, serce biło jej przyspieszonym rytmem. Czekwała na ten dzień, wiedziała, że nadejdzie.

Stojąc przed prowizorycznym ołtarzem Tara uśmiechnęła się do Abła i rzekła:

- Chcę.

- Ogłaszam was zatem mężem i żoną - powiedział kapłan z uśmiechem. - Możesz pocałować małżonkę, Ablu.

Na łące obok jeziora, w którym Bobby i Jane zwykli pływać, i gdzie Abel i Tara zwykli siadywać i obserwować gwiazdy, ci ostatni postanowili połączyć swoje losy.

Bobby ujął dłoń Jane, ślubną obrączką dotknął jej palców.

- Chciałabyś powtórzyć te ceremonie? - zapytał. Przywołując w pamięci uroczystość, która odbyła się w Emandii przed miesiącem, Jane uśmiechnęła się do męża, który pomagał jej teraz dosiąść swego szarego ogiera.

- Bardzo chętnie - odrzekła. - Ale może poczekajmy na rocznicę?

Siadłszy tuż za nią, Bobby pocałował ją w ucho i szepnął:

- Rocznicą jest dzisiaj, minął właśnie miesiąc.

Wracali na rancho, do domu, a za nimi rodzina i przyjaciele.

- Kto by pomyślał - zaczęła Jane, patrząc na niego przez ramię - że ten wysoki i barczysty kowboj jest takim roman-tykiem.

- Każdy, kto zna dziewczynę, z którą ten kowboj się ożenił - powiedział Bobby, przekrzykując tętent końskich kopyt.

- Kocham cię, Bobby Callahan.

- Ja też cię kocham i dziś wieczór powtórzmy sobie naszą przysięgę.

Roześmiała się, a porywisty teksański wiatr chłostał jej twarz.

- Nie wiem, czy wytrzymam do wieczora.

- Będziesz musiała, kochanie - odrzekł Bobby. - Mam poprowadzić wesele. W najprzyjemniejszym w mieście lokalu.

Jane spojrzała na nazwę **nad** wejściem do restauracji, jej restauracji.

Do „Ulubionej” zjechało mnóstwo ludzi - rodzina, znajomi, przyjaciele - gotowi świętować teksańską uroczystość weselną.

Aż trudno sobie wyobrazić, myślała Jane, bo ma oto wszystko, czego pragnęła - Bobby'ego, własną restaurację, rancho, na którym studenci zdobywają umiejętność rehabilitacji niepełnosprawnych dzieci, plany na przyszłość.

- Czy to zapach chleba kukurydzianego? - zapytał mąż Ay, zeskakując z konia.

- Ubóstwiam ten chleb - powiedziała ich córka Lily siedząca obok Muny, swojej babci.

- Ty w ogóle ubóstwiasz jeść, gwiazdeczko.

- Jak reszta rodziny - skomentowała Rita, wysiadając z auta i podając Dayę Sakirowi, który pocałował w czoło dziewczynkę.

- Zrobiłaś surówkę, siostrzyczko? - zapytał Zayad pomagający Sophie wysiąść z samochodu, bo była w ciąży i nie dosiadała konia. Lubię tę sałatkę - dodał.

- A ja liczę na tę energetyczną - oznajmił Abel, wchodząc wraz ze swoją nową żoną do restauracji.

Po słowach zapewnienia, że ich teksańskie ulubione dania zostały przygotowane, Jane umknęła do swojej najwspanialszej kuchni w „Ulubionej”. A gdy makaron z serem, mięso, kartofle, a potem ciasto czekoladowe wyjmowała z piekarnika, uśmiechnęła się... W tej jej restauracji, w „Ulubionej”, jak ją nazwała, zebrała się cała jej rodzina. Wszyscy zdrowi, szczęśliwi, weseli... O czym tu jeszcze marzyć?